RODZINA polska





MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY WARSZAWA

ROK IX PAŹDZIERNIK 1935

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ“ W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOSI:

ROCZNIE:

Polska	7 zł.	Czechosłowacja	40 kor. cz.
Niemcy	5 R. mk.	Ameryka	2 dolary
Francja	25 frank.	Inne kraje	7 fr. szw

PÓŁROCZNA Prenumerata w Polsce — 3 50 zł; KWARTALNA — 2.00 zł. CENA POJEDYŃCZEGO numeru — 60 gr.
Przesyłki pieniężne adresować: P. K. O. 14.664, Stowarzyszenie Misyjne Księży Pallotynów (Rachunek Wydawnictw).

Adres REDAKCJI i ADMINISTRACJI: Warszawa, Krakowskie Przedmieście 71. — Telefon: 240-15.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 15—17. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Drukarnia Archidiecezjalna — Warszawa, Krak. Przedmieście 71.

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY
RODZINA POLSKA

ROK IX. WARSZAWA—PAŹDZIERNIK 1935. Nr. 10.

NA ŚWIĘTO CHRYSTUSA - KRÓLA
27 PAŹDZIERNIKA

Są ludzie, którzy mówią, że Cię, Boże, niema,
A Ciebie wszędzie pełno—boś Twórcą stworzenia
Tyś ludziom się objawił Osobami Trzema,
I od Ciebie tu wszelkie zależą zdarzenia.



Bóg-Człowiek, przebaczyłeś ułomności ludzi,
Nas oakupiłeś męką Twojego cierpienia, —
I Ciebie pojmie każda dusza, gdy się zbudzi,
I rozpozna w ciemności znak Twojego cienia.

Rożwietliłeś pogaństwo blaskiem Swej Jasności,
Ziemię nam dałeś, Panie, życie i nadzieję —
I nie pomogą, Panie, marne ludzi złości,
Bo przy Twojej koronie wnet wszystko
[blednieje.

Rzekłeś — a słowo stało się ciałem,
I zamieszkałeś, Chryste, między ludem,
Przez wieki nas krzepisz, Swoim „Chlebem
[Białym",
I moc swą okazujesz nieraz, Królu — cudem.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Spraw — niechaj wielka Jasność się stanie
W oślepłych duszach, ludzi miast i pól,
Weź je, o Chryste, w swoje władanie
I zatriumfuj w nich, Ty Królów-Król!

JERZY W. HELBICH.

ROLA AKCJI KATOLICKIEJ

Święto Chrystusa-Króla, z rozkazu papieża Piusa XI uroczyście obchodzone w całym Kościele katolickim, stoi w jaknajściślejszym związku z proklamowanem przez tegoż papieża hasłem t. z. Akcji Katolickiej. Bo Akcja Katolicka ma być tym czynnikiem w Kościele, który utoruje drogę Królestwu Chrystusowemu w społeczeństwie ludzkiem i sprawi, że odwieczna prawda o nieograniczonem władztwie Chrystusa, stanie się życiem społeczeństw, podstawą i wskaźnikiem wszelkich poczynań ludzkich.

Do spełnienia tego zadania nie wystarczy sama organizacja, i chociaż jej znaczenia nikt rozumny nie kwestjonuje, to jednakże nie można jej stawiać na pierwszem miejscu. O wiele ważniejszym jest duch, t. j. żywe przejęcie się, entuzjazm dla prawd podstawowych wiary, dawno już znanych, a jednakże nie wprowadzonych w życie tak, jak tego wymaga wiara w pełnem tego słowa znaczeniu, czyli wiara czynna.

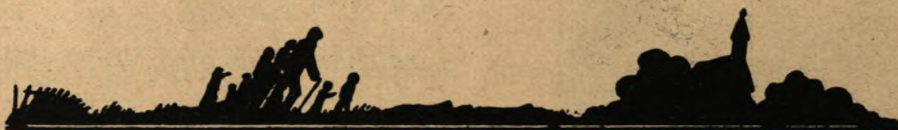
Królestwo Chrystusowe na ziemi opiera się na dwu podstawowych prawdach, które Jan Ewangelista oglasza w prostej, lecz kategorycznej formie: Na początku było Słowo... wszystko się przez nie stało (Jan 1, 1, 5) i „Słowo stało się ciałem (Jan 1, 14), t. j. na prawdzie stworzenia i na prawdzie odkupienia. Słusznie tedy podkreśla encyklika papieska wrodzone i nabyte prawo Chrystusa do świata, wrodzone, gdyż przez Słowo świat został stworzony, nabyte, gdyż Słowo, stawszy się ciałem, dokonało odkupienia świata. To są dwie zasadnicze prawdy katolickiego poglądu na świat i społeczeństwa, głoszące, że tak porządek bytu jak i porządek łaski opierają się na Słowie, że porządek bytu jest naturalną podbudową porządku łaski i że porządek bytu w porządku nadnaturalnym ma swój ostateczny sens. Jest to jakgdyby pierwszy artykuł konstytucji państwa Chrystusa-Króla.

Choć z bólem, trzeba przyznać, że już dość długo prawdy te były prawie że martwą literą w dogmatach i katechizmach, że nasz katolicyzm wyczerpywał się w obrębie Kościoła, a prawie, że nie zaznaczał się w życiu społecznem i publicznem. Z epoką oświecenia rozpoczął się proces cofania się katolicyzmu w mury kościelne, a jego energje znajdywały swój upust conajwyżej w literaturze religijnej, w prywatnych nabożeństwach, aż doszło do strasznego w swej treści stanu rzeczy, który papież określił jako laicyzację. Prawda, że przesadą były twierdzenia liberalizmu o zupełnem zwycięstwie w kulturach europejskich, przesadnym jest głos Miguela de Unamuno w jego szeroko kolportowanej książce „Agonja chrześcijaństwa", ale prawdą jest po dziśdzień nietyle może zupełne wyzwolenie się, ile pomijanie w życiu politycznem i społecznem idej, wskazujących cel ostateczny działania ludzkiego poza światem, poza materją.

Przykładów nie brak. Doniosłe prace i instytucje międzynarodowe stoją — jak wiadomo — poza sferą wpływów chrześcijańskich. Międzynarodowe Urzędy Pracy, Europejskie Porozumienia, Liga Narodów, prowadzą swe prace zdala od chrześcijaństwa; miarodajnemi są tam jedynie motywy rzeczowe, polityczne i gospodarcze, a o chrześcijańsko-religijnych pobudkach nikt nawet nie wspomni, mimo że w tych zespołach biorą udział uczeni i dyplomaci, przyznający się do katolickiego światopoglądu. A przecież światopogląd katolicki to nie jest tylko wypełnienie przykazań Bożych i kościelnych, branie udziału w nabożeństwach, ale ujmowanie życia całego ze stanowiska pewnych zasadniczych prawd, bez względu na to, czy chodzi o kwestje polityczne, gospodarcze czy społeczne. Tymczasem jesteśmy często świadkami faktu, że politycy katoliccy dla polityczno-ekonomicznej korzyści działają wbrew sumieniu i stwarzają ten sztuczny i nieszczęsny rozdział moralności na osobistą i polityczną, zapominając, że naczelnym postulatem wszelkiej moralności jest duchowa pewność osoby, która sprawia, że moralność osobista promieniuje we wszystkich przejawach życia.

Akcja Katolicka toruje drogę Królestwu Chrystusa, idzie w kierunku ożywienia osobistej pobożności, ale jej ostateczny cel sięga ponad życie indywidualne, dąży bowiem przez wyrobienie dzielnych i rzetelnych jednostek do opanowania całokształtu życia, do przekształcenia usposobień i woli, do odrodzenia społeczeństw, przez przywrócenie należytego wartościowania świata i rzeczy doczesnych, pewna, że tylko przy religijnem ujęciu, a więc przy uznaniu zasadniczych prawd Chrystusa do świata i przy oparciu na Jego zasadach tak wewnętrznego jak i zewnętrznego życia społeczeństw, odnowi świat, sprawiedliwością i miłością wyrówna przeciwieństwa, a przynajmniej złagodzi je na tyle, że zatamuje proces rozkładu, który już rozpoczyna się w świecie.

Oparta na wspomnianych dwóch zasadniczych prawdach światopoglądu i ukształtowania świata, Akcja Katolicka musi żyć i budować na trzeciej wielkiej, a tak często zapomnianej prawdzie o życiu Chrystusa w Kościele. Wszak Chrystus utworzył sobie tu na ziemi tajemniczy organizm, którego jest Głową i w którym prawdziwie krąży Jego Krew; wspólnota z Chrystusem niema sobie równej, bo każda inna więź, czy rodzinna, czy państwowa, opiera się na zewnętrznych czynnikach, podczas, gdy wspólnota Ciała mistycznego przepromieniona jest łaską, która czyni członków tego ciała uczestnikami natury Chrystusowej. Przeświadczenie o tej wspólnocie sprawi nietylko wzięcie udziału w dolach i niedolach ciała mistycznego, ale wyzwolenie wszystkich energij dla rozwoju tego ciała, współodpowiedzialności za całość, ducha apostolatu, celem pozyskania odpadłych czy poprawy tych członków, którzy dotychczas obojętnymi byli dla sprawy. A ten duch apostolstwa, to właśnie duch Akcji Katolickiej, jego aktywacja zaważy na losach i znaczeniu Akcji, na odsekularyzowaniu społeczeństw i przywróceniu należytych praw Temu, który jest „ponad wszelakie księstwa i władze i moc i panowanie" (Efez. 1, 21) najprawdziwszym suwerenem wszystkiego, co na niebie i ziemi.





Modlitwa poranna rolnika przy jesiennej pracy w polu.

RODZINA JAKO CZYNNIK WYCHOWAWCZY

Gdy mowa o rodzinie współczesnej, staje przed nami obraz rodziny, która stanowiła dawniej podstawę ustroju społecznego. A gdy mówimy o rodzinie jako czynniku wychowawczym, mamy przecież na myśli rodzinę dzisiejszą, z którą musimy się liczyć. Rodzina ta zmieniła atoli swe oblicze i strukturę zupełnie. Jest ona wprawdzie nadal podwaliną ustroju społecznego współczesnych państw, jednakowoż ulega poważnemu przeobrażeniu, co nie pozostaje bez wpływu na wychowanie rodzinne. Stan ten też niepokoi pedagogów, bo z rozkładem i unowocześnieniem rodziny postępuje kryzys wychowania rodzinnego i osłabia się wpływ wychowawczy rodziny. Czy jednak wychowawcza rola rodziny jest istotnie dziś ważną? Wszak istnieje sieć nowych szkół najrozmaitszego typu, nietylko nauczających, ale przedewszystkiem wychowujących — umiejętniej i systematyczniej. Socjologowie wychowania stwierdzają jednak mimo to, że wychowawcza rola rodziny jest właśnie dziś skutkiem odmiennej struktury rodziny niemniej ważną jak dawniej, a może mimo zmienionej struktury i nowej szkoły tem ważniejsza.

Pod tym kątem widzenia rzuciła też zagranica hasło odrodzenia społeczeństwa przez rodzinę, a propagatorem tej idei stał się Belgijczyk De Vuyst, twórca szeroko dziś rozgałęzionych Lig Wychowania Rodzinnego, które po raz czwarty obradowały w Leodjum na międzynarodowym kongresie, a w lecie tego roku w Brukseli na kongresie piątym. Kongres ten wyszedł i tym razem z podstawowej tezy, że rodzina jest komórką organiczną, bez której niema wogóle cywilizacji, że rodzina jest dalej kolebką wychowania, ba nawet głównym etapem wychowania, pierwszego wogóle wychowania. Istotnie jest rodzina żywym i naturalnym ośrodkiem pierwszych poczynań wychowawczych, nie dających się niczem zastąpić, podobnie jak światło słońca nie da się zastąpić najlepszą nawet żarówką.

Jednakże nietylko kongres lig wychowania rodzinnego stanął na tem stanowisku, zdanie to bowiem podziela również współczesna pedagogika, która utrzymuje, że szkoła, postawiona nawet wysoko pod względem pedagogicznym, nie może i dziś uwolnić domu od obowiązku wychowania, jakkolwiek istotnie przewyższa dom w zabiegach wychowawczych, dzięki konsekwentnemu a planowemu stosowaniu umiejętnych, nowoczesnych metod pedagogiczno-dydaktycznych. Szkoła bowiem nie może rozpocząć nadbudowy, jeśli brak fundamentów, jeśli ona otrzymuje materjał surowy — dzieci niewychowane zupełnie.

Zagadnienie to nie interesuje jednak tylko pedagogikę, jest ono również problemem socjologji, która kwestją tą poważnie się zajmuje. Uzasadniając atoli potrzebę wychowania w rodzinie, dodając pedagogice racji, że w rodzinie dokonywa się pierwsze, podstawowe wychowanie, że rodzina stanowi czynnik wychowania niezmiernie doniosły, uzasadnia tę potrzebę własnemi argumentami. Twierdzi mianowicie, że chociaż dzisiejsza rodzina nie jest jak dawniej jedyną instytucją wychowawczą, to jednak zajmuje ona obok takich współwychowawców, jak grupa rówieśników, nauczyciel, szkoła; instytucje wychowania pośredniego: gazeta, książka, teatr, kino, radjo, muzeum, ulica — najważniejsze miejsce. W rodzinie przeto de facto otrzymuje dziecko pierwsze wychowanie, zasadnicze, bo opierające się na więzi biologicznej, stanowiącej w pierwszym okresie życia dziecka szczególnie silną podstawę stosunku wychowawczego, jaki zachodzi między rodzicami a dzieckiem — i rodzina do pewnego stopnia jest w stanie ująć postronne działanie powyższych czynników w pewien regulatyw wychowawczy, czem działa dominująco w procesie pierwszego wychowania. Socjologja opiera jednak swoje twierdzenie o ważności rodziny jako czynniku wychowawczym na prawach i obowiązkach, jakie społeczeństwo nakłada na rodziców w dużej mierze za cenę ich funkcji wychowawczej, czyli obowiązek wychowania rodzinnego nie opiera się przedewszystkiem i wyłącznie na niczem i przez nikogo kontrolowanym stosunku emocjonalnym matki do córki czy ojca do syna, ale na pewnych prawach oraz sankcjach społecznych, którym rodzice, jako członkowie pewnej określonej społeczności czy grupy etnicznej lub materji, siłą swojej przynależności, grupowej podpadają. Niemałym jednak argumentem dalszym, podnoszącym rodzinę jako czynnik wychowawczy do niemałej roli społeczno-wychowawczej jest fakt, że dziecko pozostaje w domu rodzicielskim nietylko przez cały prawie czas w okresie przedszkolnym, ale

wstąpiwszy nawet do szkoły, przebywa w niej około $1/3$ czasu w stosunku rocznym, natomiast $2/3$ spędza dalej w domu. Stąd to płynie wprost wniosek, że wychowanie rodzinne ma nietylko trwać w okresie przedszkolnym, co już wykazaliśmy, ale że obowiązek spełniania funkcji wychowawczej przez rodziców winien się rozciągać i na okres szkolny, gdyż dziecko nie może i nie powinno przez wzmiankowany czas pozostawać bez opieki wychowawczej. Widzimy więc, że rozszerzyliśmy jeszcze argumentami rzeczowemi, wprost z życia wziętemi, naocznemi i szerokim rzeszom rodziców i wychowawców znanemi zagadnienie, jak wielką jest rola rodziny w wychowaniu, jak doniosłym jest czynnik rodziny w wychowaniu współczesnem, mimo głębokich zmian, jakie się wkradły do rodziny miejskiej i wiejskiej, oczywiście przedewszystkiem miejskiej, a szczególnie wielkomiejskiej. Gdy więc pewne odłamy twierdzą, że rola rodziny jest dziś w wychowaniu znikoma, twierdzimy, że sztucznie się rolę tę degraduje do rzędu niższego, w rzeczywistości wymagania nowe znaczenie wychowawcze rodziny powiększają i rozszerzają.

Znaczenie rodziny w wychowaniu tem silniej dziś podkreślić i oświetlić należy, ile że stosunkowo dość silnie dał się dziś zaznaczyć kryzys w wychowaniu. Sanacja wychowania wogóle jest w poważnej mierze zależna od sanacji wychowania rodzinnego, z czem oczywiście łączy się sanacja rodziny dzisiejszej wogóle. Sanacja ta jest dlatego potrzebna, bo sąd, że wystarcza opieka fizyczna dziecka w okresie wczesnego dzieciństwa, okresu przedszkolnego, jest przesądem. Nie wystarcza, aby w miejsce zajętych rodziców służąca lub babka zajęła się fizyczną opieką dziecka, lecz chodzi o trwały stosunek wychowawczy, od pierwszej chwili bodajże urodzenia, o stosunek, który na długo i w okresie szkolnym, w którym zdawaćby się mogło, że rola rodziny się skończyła a zawodowi pedagogowie ją zastępują, nie może ustać ani osłabnąć, bo z chwilą, gdy rodzice nie spełnią należycie swego zadania wychowawczego, wówczas zastąpi ognisko rodzinne ulica. W wypadku tym staje się rola rodziców negatywna i ich funkcję wychowawczą obejmuje środowisko inne, przypadkowe, niepożądane, które szczególnie w wielkich miastach psuje nieletnie dzieci, powiększa uliczników, a co najbardziej bolesne — przestępców młodocianych. Że to stwarza atmosferę demoralizacji, najpodatniejszy grunt dla przestępczości, dowodzić nie trzeba.

Bylibyśmy nieobjektywni w osądzeniu rodziny dzisiejszej ze stanowiska czynnika jakim jest w wychowaniu, gdybyśmy zamknęli oczy na pewne objektywne przeszkody, które wręcz uniemożliwiają rodzicom dobrej woli stosowanie rodzinnego wychowania. Przyznać trzeba, że w strukturze rodziny, zwłaszcza wielkomiejskiej, zaszły wielkie przemiany społeczne, które spowodowały kryzys wychowania rodzinnego. Jeśli jednak rozpatrzymy przyczyny tego kryzysu wyraźnie, wyróżnimy przyczyny duchowe i materjalne, które razem biorąc, długo trwając, pogłębiają tylko ten kryzys, dając początek całemu szeregowi braków wychowawczych dzisiejszego pokolenia. Wypada nam atoli podkreślić, że pewne przyczyny leżą w sferze samej rodziny, pewne natomiast poza nią w stosunkach ekonomicznych. Postulując wychowanie rodzinne, zdajemy sobie sprawę z tego, że powody natury objektywnej są trudno usuwalne, a zatem w wypadkach, gdzie warunki objektywne wprost uniemożliwiają rodzinom stosować wychowanie rodzinne, winy takim rodzinom przypisywać nie można. Dlatego należałoby w tych właśnie wypadkach, gdzie warunki społeczne lub ekonomiczne naprawdę nie pozwalają stosować tak bardzo pożądane wychowanie rodzinne, zakładać szkoły, któreby na siebie wzięły i rolę wychowania rodzinnego, atoli w lepszem wydaniu, celem zrównoważenia tych czynników wychowawczych, które samorzutnie znikają, w wypadku przelania przez rodzinę wychowania potomstwa na odnośne szkoły.

Ilość takich szkół, wyręczających taką rodzinę lub równie kulturalną, rodzinę wewnętrznie np rozbitą, pokłóconą, rozwiedzioną, jest jednak znikomo mała, albo przynajmniej nie rośnie w tem tempie, w jakiem rośnie potrzeba i zmieniają się warunki objektywne. Ilość domów wychowawczych, przedszkoli, żłobków, internatów jest istotnie mała. Jak widzimy, wynika stąd społeczny postulat pomieszczenia luzem chodzącej dziatwy lub dziatwy, których wychowanie rodzinne jest zgubne dla jej rozwoju moralnego lub osobowości, w specjalnie do tego stworzonych instytucjach, co zatem idzie — rozbudowanie publicznej opieki, która dotąd ograniczała się tylko do opieki nad sierotami. Dziatwa ta posiada wprawdzie rodziców, ale wychowawczo jest ich pozbawiona. Znowu jednak musimy zaznaczyć, że nawet w wypadku oddania dzieci do takich instytucyj specjalnych nie wolno rodzicom zaniedbać dzieci. Kiedykolwiek mogą i jak mogą powinni o wychowanie dbać, aby się dzieci nie czuły osierocone za życia rodziców. Rodzicom zatem nie wolno zabijać w sobie więzi emocjonalnej, wiążącej ich z dziećmi wprost, biologicznie i naturalnie przez szukanie rozrywek w chwilach wolnych od zajęć zawodowych i awersję do domu, dlatego, ponieważ właśnie cechy takie, jak więź biologiczna i emocjonalna znamionują bezpośredni stosunek wychowawczy rodziców do dzieci i one to podnoszą wychowanie rodzinne ponad poziom systematycznego i refleksyjnego wychowania szkolnego, które na skutek braku tych cech różni się od wychowania w rodzinie, będącego wychowaniem dzieci własnych, a nie zbiorowiska przypadkowego, złączonego tylko klasą, wiekiem i nauczycielem w jednorodną grupę. Te dwie cechy są zarazem podstawowemi dla zachowania całości rodziny jako instytucji społecznej o wielkiej przeszłości, rodziny jako czynnika wychowawczego doniosłej wagi. I zdaje się, że dla braku tych cech, od rodziny nieodłącznych, nie udają się próby wyłącznie państwowego czy partyjnego kierownictwa życiem rodzinnem i wychowaniem w rodzinie, ponieważ z niemi łączą się inne ważne prerogatywy rodziców, z których np. sprawa zawodu dziecka zajmuje pierwsze miejsce. Ponieważ więc szkoła nie posiada tych naturalnych cech, właściwych każdej rodzinie z natury, dlatego nie może się ona obejść bez współudziału rodziców w dziele wychowania powierzonej sobie młodzieży, dlatego nie powinna funkcja wychowawcza rodziców i dziś ustać, lecz może się jedynie uzupełniać, gdy zajdzie ku temu potrzeba, przez szkołę lub podobną instytucję. Nie możemy więc zrezygnować i dziś z wychowania rodzinnego, jakkolwiek szwankuje, bo szkoła w żaden sposób nie jest w stanie w zupełności zastąpić rodziny w swych poczynaniach wychowawczych, które często wymagają pomocy ze strony naturalnych sojuszników wychowania: więzi biologicznej i emocjonalnej, stanowiących najpoważniejsze czynniki zachowawcze rodziny dawnej i niemniej dzisiejszej, choć mocno nadwerężonej w swym bycie.

Z tego zarazem powodu nie jest dla współczesnej pedagogiki obojętnem, czy rodzina miejska czy wiejska, miasta małego czy dużego, się nadal rozprzęża czy konsoliduje. Rodzina czuje, że nie straciła wszystkich warunków swego istnienia, jakkolwiek czuje jednocześnie, że jest zagrożona i nadwerężona. Dwa czynniki dają jej jeszcze i dziś moc spajającą, trzeba tylko w proce-

sie spajania rodziny przyjść z skuteczną pomocą, a tu wiele może zrobić państwo.

Czynnikami temi, działającemi zachowawczo na rodzinę, są: społeczne funkcje rodziców, mianowicie: funkcja rodząca i wychowawcza, oraz indywidualne uczucia i dążności rodziny. Funkcja rodząca jednak, prawdę mówiąc, słabnie coraz bardziej, szczególnie w wielkiem mieście i to w społeczeństwach najwyżej zorganizowanych intelektualnie i materjalnie. Niemniej słabnie właśnie w tych miastach druga funkcja, mianowicie — wychowawcza. Leżałoby przeto w interesie państwa i społeczeństwa zapobieżenie temu, albowiem nie jest i nie może państwu lub grupie etnicznej, czy społecznej, być obojętnem, czy, gdzie i jak wychowuje się nowa generacja, na której one swój byt opierają. Dlatego jest głęboką tych grup troska, by funkcja rodząca i wychowawcza oraz emocjonalno-wychowawcza nie słabły dalej, bo groziłoby to zupełnem rozbiciem rodziny, która przecież jest podwaliną społeczeństwa i państwa.

Oczywiście, że z wychowawczego punktu widzenia chodzi nam przedewszystkiem o wychowanie rodzinne, ale łatwo zrozumieć, że zależy ono od bytu rodziny. I na nic napewnoby się przydało również i stanowisko psychologji dziecka, orzekające i kładące na pierwsze wychowanie w rodzinie szczególny nacisk, gdyby rodzina nie miała objektywnej możności zajęcia się funkcją wychowawczą. Na nicby się przydały doświadczenia zakładów wychowawczych, orzekające, że pierwsze wychowanie jest niezmiernie trudne, uciążliwe i że żadna instytucja nie jest w stanie dokładnie w dziele wychowania zastąpić rodziny, gdyby rozprzężona rodzina nie doszła do przekonania, że konsolidacja jej jest wymogiem pierwszorzędnej wagi z najrozmaitszych względów, a w głównej mierze ze względu na dobro samego dziecka.

Aby jednak wychowanie rodzinne można odrestaurować, konieczna jest reforma tego wychowania, konieczna jest przemiana tego wychowania z bezrefleksyjnego często w refleksyjne, świadome, a to wiąże się z udostępnieniem rodzinom podstawowych zasad pozytywnego wychowania. Samo przez się rozumie się, że w rodzinach tych winien ponadto wychowaniu przyświecać dobry przykład ze strony rodziców. Istnieje bowiem wychowanie przez przykład, działający bezpośrednio. Dlatego wysuwa się tu ważny postulat wychowania rodzinnego, którym jest takie zachowanie się rodziców i członków rodziny, któreby samo dla siebie mogło wychowywać, samo dla siebie mogło kształcić w pożądanym kierunku. Dziecko bowiem takiem będzie, jakiem będzie przykład rodziców. Innem więc będzie dziecko ciasnej izby, w której się dzieją bijatyki, pijatyki, wybryki seksualne itp., a inne wytwornego domu, gdzie na każdym kroku nieletnie dziecko spotyka się z wytwornem słowem, dobremi manierami i dobrym przykładem. Dziecko przecież uczy się przez naśladownictwo. Dlatego musi rodzina, od której żądamy wychowania rodzinnego, by być nadal czynnikiem twórczym, pozytywnym w wychowaniu, jak to miało miejsce niedawno temu, przed kryzysem rodziny i przed kryzysem wychowania rodzinnego, naprawić przedewszystkiem swe wewnętrzne stosunki, tak moralne, jak towarzyskie, i to rodzina bogata i uboga, ta, która stroni od domu, a przesiaduje w klubach, powierzając dzieci opiece służby, i ta, która po robocie, miast się zająć dzieckiem, udaje się do knajp. Postulatem więc dalszym jest umoralnienie rodziny, a ono łatwiej da się przeprowadzić, aniżeli sanacja ekonomiczna rodziny, na którą w warunkach dzisiejszych szalejącego kryzysu gospodarczego prawie że wpływu indywidualnie nie mamy. Nie znaczy to, że sanacja ekonomiczna jest mniej ważna dla bytu i sanacji rodziny, ale znaczy, że obie te sanacje winny postępować w parze, bo rodzina w najlepszych warunkach ekonomicznych często bardziej jeszcze się uniemoralnia, jak w warunkach gorszych ekonomicznie. Im lepiej, tem chętniej się używa świata, ze szkodą wychowania nieletniej dziatwy. ta uzdrawiająca praca dokoła rodziny dzisiejszej musi oczywiście być systematyczną i gruntowną. W niej musi pomóc państwo, a społeczeństwo musi się do zagadnień wychowawczych odnieść poważniej, niż dotąd.

Dr. S. St.



CO KOCHAŁAM?

Na uroczystość Św. Teresy 3 października

Wiersz został ułożony przez św. Teresę od Dz. Jezus na prośbę jej siostry Celiny.
Tłumaczył z francuskiego Ks. Dr. A. Wróblewski.

Kocham wspomnienie, co w sercu gości,
Wspomnienie szczęsnych dziecięctwa lat;
Gdy śnieżny kwiatek mej niewinności
Jezus skrył tarczą Boskich swych szat...
Jawiąc miłości orędzie.

Więc chociaż byłam malutką jeszcze,
Rwałam się duszą w tę Boską toń...
I słodkie czułam obietnic dreszcze,
Że króla świętych, gdy zwieńczę skroń,
On Oblubieńcem mym będzie.

W lat mych zaraniu jam ukochała
Marję z Józefem — ten Nieba zjaw...
W nim utonęła ma dusza cała,
Jak w morzu Bożych najświętszych [spraw...
W nich raju miałam zjawienie.

Miłe mi były i pszenne pola,
Łąki i groźna gór naszych dal;
I ta z siostrami wdzięczna-swawola
W zbieraniu kwiatów wśród zboża fal...
Gdy słońca grzały promienie.

A trudy moje były niepłonne:
Bo modry bławat, różowy wrzos,
Kukułcze ziele i fiołki wonne,
To barwne żniwo, jak złota trzos
Do domu niosłam szczęśliwa.

Stokrótka biała pamięć mą więzi,
I dłuższy spacer niedzielnych dni...



Św. Teresa od Dz. Jezus w dzień pierwszej Komunji św.

Świergot ptaszęcy na drzew gałęzi,
I błękit nieba — ten mi się śni,
Jak Boża nade mną niwa.

Trzewiczki kładłam też przy kominie
W świętą Narodzin Jezuska noc,
By w świtu szczęsnej Święta godzinie
Otrzymać darów tak wielką moc
Iż rączek dwojga zamało!

Kochałam uśmiech mojej matuli;
Jej ócz głębina nieb kryła zew:
„Wieczność mnie wkrótce weźmie, utuli,
„I porwie nieba błękitu wiew-
Z dziatkami żdzielę się chwałą.

„Pójdę, gdzie żyją Aniołki moje,
„Gdzie Matka Boża u wiecznych bram...
„A tych na ziemi życia łez zdroje,
„Gdy Jezusowi w opiekę dam-
On mi je odda tam, w Niebie!”

Hostję-Jezusa jam ukochała,
W zaraniu życia On mi się dał...
Harfą Mu byłam — dziecina mała,
Na strunie serca, gdy słodko grał,
Na zawsze biorąc mnie w Siebie!

Odczuwam słodycz w onem wspomnieniu,
Gdym Ojca mego pieściła skroń...
Srebrny włos skrzył się w słońca [promieniu,
Ja się tuliłam dzieciątkiem doń,
W ust jego świętej pieszczocie.



Św. Teresa ze siostrą swą Celiną.



Św. Teresa sypie kwiatki przed Najśw. Sakramentem.

Gdy szy wieczory długie, zimowe,
Sen kłonił główkę — jak wątły wrzos...
Ukołysały mnie piosnki nowe-
Słyszę ojcowy on słodki głos,
Jak szmery perełek w złocie.

W skarbcu pamięci dziś serce tonie,
W skarbcu, co chowa dziecięctwa cud:
Wieczorne uczty, róż wdzięczne wonie
I Buissonetu radość i trud-
I urok słoneczny lata.

Ileż to razy od gwaru zdala
Z Celinką myśli wiązałam wian...
Gdy jedna brała uniesień fala,
I jeden witał życiowy łan,
Co serca miłością splata.

Gwar dźwięcznych głosów, jak ptaszząt [wielu,
A dłonie łączył siostrzany splot;
I marzeń naszych w progi Karmelu
Rwał serc płomiennych dziewiczy lot —
Jak w raju duchów podsienie.

Pamiętna podróż do Watykanu,
Urokiem wrażeń koiła ból;
Serce oddałam Boskiemu Panu,
Gdy święty Starzec-on, Papież, Król
Wyrzekł: „Bóg spełni życzenie!"

Gdzie są Katakumb podziemia święte,
I Koloseum czcigodny mur,
Poszły miłością słowa poczęte,
I szedł mych pieśni cichutki wtór
Z tymi, co krwią tu śpiewali.

Po szczęścia chwilach - poszły łez zdroje,
Trwoga o serce poczęła bić;
Więc wzięłam Chrysta najświętszą zbroję,
By z Nim w Krzyżowem zwycięstwie żyć,
Jak żyją pokorni mali.

Stroniąc od zgiełku ludzi i świata,
Samotnej ciszy odkryłam czar...
I łąk uroczych nęciła szata,
Wśród łez zbierałam kwiateczków dar
I z wiatrem płynące echo!

A w nim się nieraz głosy złożyły
Kościelnych dzwonów hen z poza gór...
I jak wietrzyka rozhowor miły,
A tak ukojny, jak ptaszząt chór
Wieczorny pod wiejską [strzechą!

I lot jaskółek śledziłam wzro- [kiem,
Synogarliczek łowiłam jęk;
I radość czułam, gdy mi pod [bokiem
Szedł skrzydeł bąków swarliwy [brzęk-
W tej Bożej łąk naszych [ciszy.

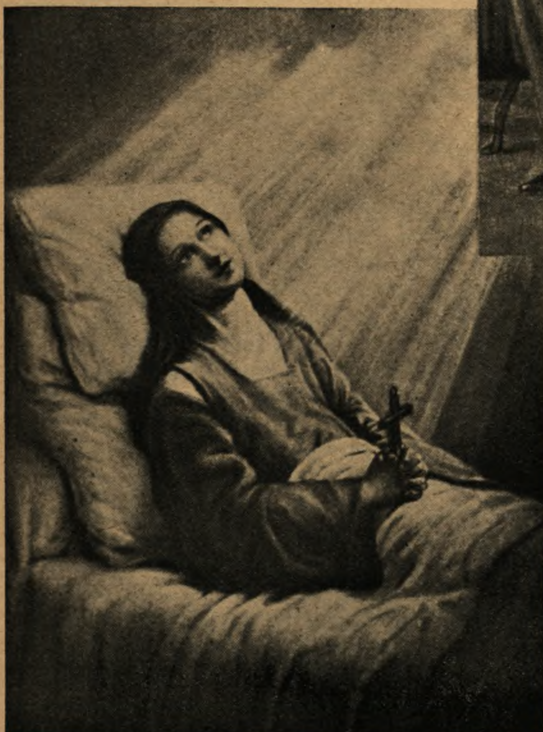
Drogie mi były rosy klejnoty,
Skrzące na pękach Bengalu róż...
Dziewiczej pszczółki tak ciche [loty
W pogoni miodnych na zimę [złóż,
Iż Bóg sam w niebie je [słyszy.



Św. Teresa z matką.



Św. Teresa prosi ojca o wstąpienie do klasztoru.



Św. Teresa na łożu śmierci.

Lubiłam również różowe wrzosy
Wątłe, jak leśnej gęstwiny [mech...
I pląs motylków, mknących [w niebiosy
Jakby przestworza uroczy dech,
A tak błękitnych, jak one.

Robaczków miła mi zjawa [lśniąca;
I gwiazd mirjady wśród nieba [dróg;
I tarcz księżyca srebrem płonąca,
Którą zapala dla nocy Bóg,
Jak swej litości koronę.

Ojcu, gdy ciążył już wiek sę- [dziwy
Oddałam wsparcie mych mło- [dych sił...
On mi był szczęściem-On-mój skarb żywy-
Więc prosząc Boga, by długo żył,
Zań oddawałam me troski.

Miłe nam były szmery strumyka;
Nie straszył w dali gromowy cios;
Wieczorne słodkie pienia słowika
Brałyśmy w serce, jak raju głos-
Ten Święty, Anielski-Boski!

Oblicze ojca Krzyżem się skryło...
O! był to dla nas Krzyżowy rok...
Pełnią miłości serce zabiło,
Gdy zwrócił ku mnie swój słodki wzrok —
Ostatni dla mnie na ziemi.

Skarb twój ci wzięła Jezusa ręka,
Sierocy domu, Celino, próg...
Ojca skończona doczesna męka-
On dziś w bezmiarze szczęścia, gdzie Bóg
Ze swymi żyje świętymi!

Mnie przygarnęło słodkie więzienie
Zdala ogrodów i kwietnych łąk...
Iskrzące fałszem doczesne mienie
Rzuciłam w bezdno bezcelu mąk-
Gdzie szczęście śmierć mi zabrała.

Tam marła trawka mi pod stopami,
I ginął każdy w dłoni mej kwiat...
Na Chrysta łanach — Jego śladami
Przejdę szczęśliwa Boży mój świat,
Bo nad nim Krzyżowa chwała

Jak rączy jeleń gasi pragnienie,
U źródła górskich, przeczystych wód...
Tak i ja, Jezu, czując znużenie
Śpieszę, gdzie Bożej miłości cud:
Do łez Twych świętej krynicy.

Zew Twej miłości do biegu zrywa...
„Nie dbam o trzódkę wśród łąki traw-
„Tam szczęścia ziemi ich biedna niwa"
Dla mnie Baranka najsłodszy zjaw,
Jak Jego Matki Dziewicy.

Jezu, najświętszy Baranku Boży,
Tyś mego szczęścia tu szczyt i cel...

(Dok. na str. 296).

ALEKSANDER JUNOSZA-OLSZAKOWSKI

DWAJ BRACIA

Rozdział I.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków! Ksiądz proboszcz dokąd śpieszy?

— Przed siebie! Na spacer. Słoneczko przygrzewa w kwietniu niczem w lecie. A pan ze szkoły, panie Antoni?

— Tak jest, księże proboszczu. Co słychać nowego?

— Stary Kobierz umarł dziś rano. Zatwardziały to był grzesznik. W ostatnich latach rzadko do kościoła chodził, na upomnienia z mej strony nie zwracał uwagi. Kiedy jednak nadeszła ostatnia godzina, wielkim głosem wzywał Boga i płakał krwawemi łzami!

— Tak to bywa, księże proboszczu! Mało kto schodzi z tego świata, nie widząc błędów, jakie popełniał za życia. Kiedy zdrowie dopisuje i powodzenie, człowiek hardy jest i nieustępliwy.

— Smutny to objaw, świadczący o braku rozumu. Miejmy jednak nadzieję, że coraz mniej głupich ludzi będzie na świecie! Oświata to uczyni, szerzona wśród młodzieży. Oby więcej było takich nauczycieli jak pan, panie Antoni, a ludzkość odnajdzie wreszcie Boga w mojem sercu, o Którym dziś tak często zapomina!

— Przecenia mnie ksiądz dobrodziej i zawstydza. Staram się jak mogę i to wszystko.

— No, no! Skromność jest ozdobą uczciwego człowieka, jednak należy być sprawiedliwym nietylko w stostosunku do innych, lecz i do siebie. Przyczynił się pan przecież do założenia straży ogniowej w naszem miasteczku, odczyty miewa pan co tydzień podniosłej i budującej treści, pomaga pan wielu ludziom, a przedewszystkiem dopomógł mi pan w rozszerzeniu naszej ubogiej czytelni, z której całe niemal miasteczko korzysta. Są to rzeczy, o których się nie zapomina, a przecież życie jest przed nami i pan, jako młody, wiele jeszcze dobrego zdziałać może. Doprawdy szczęśliwy jestem jako kapłan, mogąc z panem współpracować!

— Jeszcze raz powtarzam, że zawstydza mnie ksiądz dobrodziej. W porównaniu z tem, co ksiądz uczynił dla swoich parafjan, działalność moja jest znikoma. Taką miłością i szacunkiem rzadko kto się cieszy jak ksiądz proboszcz!

— Teraz zaczyna pan mnie wprowadzać w kłopot. Niech mi pan lepiej powie, co słychać z pańskim bratem?

— Lucjan uczy się w Warszawie. W tym roku powinien mieć pół dyplomu prawa. Złote serce. Bardzo go kocham. Prócz mnie nikogo niema na świecie. Muszę mu zatem zastąpić rodziców, nauka bowiem w Warszawie jest niezmiernie droga.

— Wiem coś o tem! Ze swojej ubogiej pensji więcej niż połowę wysyła pan do Warszawy. Oby tylko na marne nie poszły te pieniądze!

— Nie żywię najmniejszej obawy. Lucjan jest niezmiernie pracowity. Pisuje do mnie listy, w których donosi za każdym razem o złożonym egzaminie, a poza-

---

Dokończenie: Co kocham?

W Tobie się ziemia i niebo łoży,
I w woni kwiatu dziewicza biel-
O mój Ty, Panie i Królu!

Jezu, przeczyste, padolne kwiecie,
Dusza ma w słodkiej niewoli Twej;
Wiązanko mirry, Ciebie w tym świecie
Przechowam w sercu — Ty, Jezu, chciej
W codziennym krzepić mnie bólu.

Miłość Twa, Jezu, mi towarzyszy;
W Tobie mam wioski i lasów czar,
Wrzosy nad wodą, poszum gór w ciszy,
Deszczyk i płatków śnieżystych dar,
Co z nieba na ziemię spływa.

W Tobie, O Jezu, wszechświat się wtórzy;
Kwiecie, co w pączku i złoto zbóż,
i niezabudki, purpura róży,
I z konwalijką kaczeniec stróż-
Złocisty, jak łan we żniwa.

Ty dajesz harfę na serca dumy,
Dźwięk jej najsłodszy niebiańskich strun...
W Tobie szmer kaskad i rzek poszumy,
I płaszcz stubarwny wieczornych łun,
Co sny ptaszęce umiła.

W Tobie brzask ranny, siedmiobarw tęcza,
I horyzontu olbrzymi krąg;
I w żniwie snopów złote naręcza,
I barwnej wiosny wietrzyka ciąg,
Co wiotkie gałązki schyla.

Mam w Twej miłości palmy urocze,
Kąpane złotem słonecznych fal;
I Ty mi sobą jawisz przezrocze
Onych wieczystych, niebiańskich hal,
Gdzie jesteś Dawcą pokoju.

W Tobie mam winne najsłodsze grona;
Skrzydeł motyli wyśniony-dziw;
Kwiecie i owoc leśnych puszcz łona,
I szatę naszych zielonych niw,
I kryształ ożywczy zdroju.

Powój, przewierścień, astry, azalje,
I nenufary, barwinek, głóg,
Rezeda, dzwonki, bez, maki, dalje-
Jawią Twej chwały i czaru próg-
I Twojej promień piękności.

Zdziebełko owsa, co wiatr kolebie,
I świst potężny wichru wśród burz;
I te Dziewicy niteczki w niebie,
I modrą głębię pogodnych mórz...
W Twej, Jezu, widzę miłości.

I ten zakonu habit mój kryje
Kosztowny złota i pereł wian...
Z Tobą pierścienie, kolje na szyję
Te brylantowe daje mi Pan-
Choć świat tych skarbów nie widzi.

Przy Tobie leśnych mam dolin ciszę,
I fal jeziora kojący dźwięk;
I oceanu z Tobą, gdy słyszę
Burzą spienionych bałwanów jęk-
Z bezsilnej grozy ich szydzę.

Przy Tobie widzę-okręt od brzegu
Złotem i bielą znaczy swój szlak...
Widzę, jak chmurom choć w rączym biegu,
Do walki ze słońcem tężyzny brak...
I w tarczy iskrzącej toną.

Ty mi tą gwiazdą na nieboskłonie...
Miłością Twoją promyk jej skrzy...
Bo jak w wieczoru tajnej osłonie
Sercem Twem Bożem ona mi drży,
I dłoń śle w moją obronę.

Dłoń Twa gdy dzierży światów miljony,
I ziemię zdobi bezliczbą drzew;
I ziarnem pleni czarne zagony,
A deszczem daje im żyzny zlew-
Nad sobą czuję Twe oko.

Mam Twe Oblicze — Ust Twych pieszczotę-
„I Twój płomienny zranił mnie grot"-
I Twej najświętszej miłości mam cnotę,
I Twego Serca z mojem mam splot-
Czyż innej trzeba piękności?

Chcę wzlecieć, Jezu, w dziewiczej bieli
Hen ponad ziemię, do raju bram-
Gdzie hymn kochania nucą Anieli,
I chwały świętych gdzie wieczny chram-
Więc daj mi umrzeć z miłości!

Jak ćma do ognia wpada i ginie,
Bo ją przyciąga płomienia blask;
Tak daj w miłości skonać godzinie-
I nią zwieńcz szereg Twych, Jezu, łask-
Daj śmierć w miłości płomieniu.

Już słyszę uczty Twojej kolendę-
Bo bliski mego skonania dzień...
U kolan Twoich z harfą przysiędę,
I ją nastroję do wiecznych pień-
W Twego oblicza znamieniu.

Przy Tobie ujrzę Niepokalaną,
I chór wybrany Twych świętych sług-
Ojca i Matkę i ukochaną
Całą rodzinę u Twoich nóg
Wraz ze mną, mój Jezu, w Niebie!

tem dorabia sobie zapewne wieczorami, co boli mnie bardzo, bo chciałbym, ażeby cały czas poświęcał nauce. Ale cóż robić! Warunki moje nie pozwalają na większe wysiłki!

— Zacny z pana człowiek! Ale ja tu pana zatrzymuję pogawędką, a w domu obiad stygnie. Żegnam pana zatem!

— Do miłego widzenia, księże proboszczu!

Antoni Reszka skłonił się uprzejmie i poszedł wolnym krokiem ku domowi. Lekki wiatr osuszał właśnie kałuże błota, w których odbijały się drgające promienie słoneczne. Z pól szedł ciepły oddech budzącej się do życia wiosny. Nieliczne drzewka na ulicach Hejnałowa wyciągały ku niebu bezlistne ramiona.

Nauczyciel, doszedłszy do rogu cichej uliczki, zatrzymał się przed niewielkim, murowanym domkiem i, otworzywszy drzwi, wszedł do sieni. Nawprost drzwi wejściowych znajdowało się wyjście na podwórze. Z lewej strony sieni przez lekko uchylone drzwi dolatywał gwar mieszanych głosików dziecięcych i kłęby pary wodnej. Z prawej strony znajdowało się mieszkanie Antoniego Reszki.

Składało się ono z dwóch skromnie umeblowanych pokoików i kuchni. Antoni, wszedłszy do pierwszego pokoju, rzucił teczkę na małe biureczko, stojące pod oknem i z westchnieniem ulgi położył się na kanapie.

Był zmęczony. Codzień rano o szóstej musiał wstawać, aby posprzątać pokoje i przyrządzić sobie śniadanie, poczem na ósmą szedł do szkoły, gdzie czekało nań przeszło pół setki dzieci, witających go zazwyczaj z wielką radością i wrzawą. Zajęcia trwały zwykle do dwunastej, poczem następowała jednogodzinna przerwa, w czasie której nauczyciel Reszka poprawiał zeszyty, dzieci zaś szły na obiad. O pierwszej szkoła znowu zapełniała się dziećmi i nauka trwała dwie godziny. Była to właściwie pogadanka najwięcej lubiana przez wszystkich. Antoni opowiadał piękne historje o dalekich krajach, o wielkich miastach i o ludziach znakomitych na całym świecie. Opowiadania jego dzieci wchłaniały z zapartym oddechem, nie spuszczając gorejących ciekawością oczu z twarzy nauczyciela. Często również przynosił ze sobą piękne książki, z których czytał dzieje zamierzchłych czasów, zawierające opisy wojen świętych w obronie Grobu Chrystusowego.

O godzinie trzeciej zamykał szkołę i rozpuszczał dzieci po domach niczem radośnie ćwierkające stado wróbli, poczem szedł do domu na obiad. Była to najbardziej przykra chwila w jego codziennem, szarem życiu, od trzech miesięcy bowiem nie trzymał żadnej posługi, ponieważ Lucjan w Warszawie domagał się coraz większych pieniędzy i trzeba było zaprowadzić nowe oszczędności w wydatkach. Biorąc się do przygotowania sobie obiadu, nie wypuszczał z ręki książki, zawierającej wskazówki, jak należy przyrządzić dobry posiłek. Niestety, niezawsze praktyka zgadzała się z teorją i częstokroć biedny nauczyciel siedział w domu głodny, nie mogąc zjeść tego, co sam przygotował. Potrawy miały jakiś dziwny smak, to znów były za słone lub wodniste, aż wreszcie zniecierpliwiony Reszka podtrzymywał swe siły szklanką mleka, miską gorących kartofli i dużym kawałem chleba. Odżywiajc się w ten sposób, myślał zawsze o bracie niemal z rozczuleniem i pocieszał się, że kiedyś będzie się im lepiej wiodło, gdy Lucjan zajmie odpowiednie stanowisko w świecie.

Wieczory spędzał zazwyczaj na grze na skrzypcach, do których czuł wielkie umiłowanie. Posiadając duże zdolności do muzyki, umiał zawsze odtworzyć każdy utwór mocno i uczuciowo. W czasie takich samotnych popisów zdarzało się nieraz, że przed oknami jego mieszkania zbierała się gromadka ludzi, zasłuchanych w jego trele i staccata.

Kilka razy w tygodniu przysyłał mu ksiądz proboszcz zaproszenie na kolację i Reszka szedł wówczas z wielką ochotą, aby po smacznym posiłku pogwarzyć sobie o różnych rzeczach z czcigodnym i mądrym kapłanem.

Zwolna następował zmierzch. Antoni podniósł się z kanapy i szedł właśnie do kuchni, aby rozpalić ogień, gdy nagle hałas jakiś zwrócił jego uwagę. W sieni poza drzwiami słychać było krzyki i przekleństwa, tupot bosych nóg po podłodze i przerażone głosy dziecinne.

Antoni zmarszczył brwi i wyprostował się. Domyślał się, co to znaczy. Zdecydowanym krokiem podszedłszy do drzwi, otworzył je i spojrzał.

Sąsiednie mieszkanie zajmowała uboga praczka, której mąż często wracał do domu pijany. Rozpoczynały się wówczas awantury, uśmierzane zazwyczaj przez Antoniego, który litował się nad losem nieszczęśliwej kobiety i sześciorga drobnych dzieci.

Tego wieczoru mąż praczki był wybitnie wojowniczo usposobiony. Wielkiemi i chwiejnemi krokami przemierzał ubogą izdebkę, wywróciwszy po drodze balję z gorącą wodą i domagał się od żony pieniędzy.

Wystraszone dzieci czepiały się matczynej sukni, zawodząc płaczliwie cienkiemi głosikami, gorąca bowiem woda, rozlana po podłodze, boleśnie raziła ich nagie stopki. Matka, zasłaniając twarz posiniaczonemi od uderzeń męża rękoma, płakała strasznie, wylewając we łzach całą nędzę swego poniżenia.

Widok ten wzburzył do głębi Reszkę. Stanąwszy we drzwiach, krzyknął w stronę awanturującego się pijaka:

— Powinniście raz z tem skończyć, panie Walenty! Tyle razy was prosiłem, abyście dali spokój waszej żonie i wzięli się do uczciwej pracy!

Walenty, rosły, czterdziestoparoletni mężczyzna w niechlujnej odzieży i z zarośniętą twarzą, zwrócił nań zatłuszczone, mętne oczka i odparł pijackim bełkotem:

— Ja pana sianuje, panie nauczyciel... ale do mojej żony... ja mam interes... ot co!

— Mnie pan nie oszuka! Znowu pan chce pieniędzy na wódkę!

— Czy ja chcę, czy nie chcę... to moja rzecz! A panu zasie do tego... panie nauczyciel!

— Myśli pan, że pozwolę spokojnie bić kobietę w mojej obecności?

Walenty zachwiał się nieco na nogach i podszedł do Antoniego.

— A czy ja panu przeszkadzam... bić swoją żonę?...

— Żony nie mam, ale gdybym ją miał, z pewnością nie traktowałbym ją tak, jak pan swoją traktuje!

— To już pańska rzecz... panie nauczyciel... ja tu gospodarz... ja tu rządzę!...

— Nie jest pan żadnym gospodarzem, bo pan nie zarabia. Dzieci pańskie i pana utrzymuje żona z tego co zarobi, piorąc brudną bieliznę!

Walenty wyprostował się dumnie, chcąc gwałtownemi ruchami rąk utrzymać równowagę ciała.

— Ja też mam fach... bezrobotny jestem!...

— Nie bezrobotny, a głupiec i leń! Przedewszystkiem zaś pijak!

— Co mi pan ubliża... panie nauczyciel... obywatel jestem... państwowy... popieram monopol!...

(D. c. n.)

Z CIECHOCIŃSKICH



Solanka z fontanną w parku

Solanka w radoaktywnej cieplicy ciechocińskiej jest gęsta i żółta jak musztarda, to znów przezroczysta, ciemno-zielona. Klomby i rabaty w parku i na ulicach zmieniają się niemal z dnia na dzień, jak pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej z fioletowych, pachnących bratkami, na żółte (celoza) i z żółtych na ponsowe, pyszniące się krwistemi pelargonjami i begonją. Zmienia się też co noc data kwietnego kalendarza, na którym rozkwita błękitnemi kwiateczkami i drobnym liściem codzień inna cyfra: 1, 2, 3, 10 czerwiec, lipiec, wrzesień 1935.

Kwiatowe memento przypomina dyskretnie zapachem wiosennych bratków, letnich róż i jesiennych astrów, że lato mija szybko, nieubłaganie, że uciekają z szybkością błyskawicy jeden za drugim słoneczne, beztroskie dni w Ciechocinku. Ciechocinek jest codzień inny: jak kapryśna kobieta zmienia ciągle swe szaty, chce być strojny, barwny, wytworny, pociągający — i nie żałuje na ten cel pieniędzy.

Żaden chyba kurort w Polsce nie może pochwalić się taką troskliwością o swój zewnętrzny wygląd; lśnią białością schludne gmachy kąpielowe, szerokie, czyste ulice o pięknej perspektywie obramowane są zielenią trawników, często i girlandami drobnych, amarantowych różyczek. Klomby i rabaty kwiatowe przed łazienkami czy w parku stanowią małe arcydzieła sztuki ogrodniczej, graniczącej z artyzmem malarskim.

Cała Polska zjeżdża do „małego zakątka raju" topić swoje artretyzmy i reumatyzmy, bóle i łamania w kościach w niezawodnej solance i borowinie ciechocińskiej. Jest tylko jedno „ale": Ciechocinek jest drogi. Prawda, że piękny, luksusowy, imponujący wspaniałemi urządzeniami leczniczemi i wyśmienitą organizacją całego aparatu zdrojowego, ale cóż znaczą te wszystkie zalety i wiara niezłomna w skuteczność ciechocińskich kąpieli, gdy kieszeń pusta? Niestety — każdy kuracjusz, który zwiedziony czarem Ciechocinka przyjeżdża na kuracje, zmienić się musi, chcącniechcąc, w przysłowiowego „kozła ofiarnego"; musi na każdym kroku płacić, płacić, płacić. Pieniądze płyną jak woda, wypłukuje się je doszczętnie



Piękny rogacz w parku często odwiedzany jest przez dzieci

wraz z reumatyzmem czy ischiasem...

Dawniej spędzano w Ciechocinku na kuracji 5—6 tygodni. W sezonie tegorocznym, można było na palcach policzyć takich wytrwałych gości. Większość kuracjuszy przyjechała na okres 3—4 tygodniowy, bardzo wielu tylko na 10 dni — 2 tygodnie. Wprost ze stacji kolejowej pędził oszczędny kuracjusz do lekarza i kąpieli, by nie stracić ani jednego dnia napróżno: każdy dzień bowiem liczy się na wagę złota. Ach te pieniądze...

Trzeba przyznać, że ceny w pensjonatach nie były w tym roku wygórowane — lwią część kosztów pochłaniało leczenie. Właściciele i dzierżawcy pensjonatów ponieśli w tym roku ogromne straty: duże wille o 20 kilku, 40 i 50 pokojach świeciły pustkami przez cały maj i czerwiec, w lipcu i sierpniu sytuacja niewiele się poprawiła — nieco liczniejszy zjazd gości nie zapełnił wszystkich pensjonatów, ani nie wyrównał strat, poniesionych w sezonie wiosennym.

W pewnej willi, posiadającej 27 pokojów, w ciągu maja nie było nikogo, w czerwcu — 1 osoba, w lipcu i sierpniu po kilka. Dzierżawca musiał mimo to zapłacić kilka tysięcy złotych dzierżawy, pensję kucharzowi, sprowadzonemu z Warszawy, pokojówkom i t. p. W tej katastrofalnej sytuacji, która zaznaczyła się z taką ostrością dopiero w tym roku, odbywało się formalne polowanie na każdego gościa, zjawiającego się na ulicy z walizką: agenci różnych pensjonatów usiłowali zwerbować go do siebie i przelicytowywali się wzajemnie, wymieniając ceny zupełnie przystępne.

Tak więc „skończyły się piękne dni Aranjouezu" i zawrotnych cen w pensjonatach: jeść i mieszkać można było w Ciechocinku tanio. Można było pozwolić sobie na najfantastyczniejsze kaprysy i wymagania — każde życzenie było natychmiast spełnione. Gość w pensjonacie odgrywał rolę oazy na pustyni: właściciel pensjonatu wzdychał długo i daremnie, by wreszcie się zja-

Kawiarnia przy basenie kąpielowym



WYWCZASÓW

wił i pozwolił czerpać kryniczną wodę gotówki, bez której najlepszy pensjonat usycha i niszczeje.

Gorzej natomiast przedstawiała się sprawa leczenia. Ceny kąpieli i zabiegów były wysokie i nie poddały się bynajmniej ogólnej zniżce cen. Koszt dziennego utrzymania w pensjonacie bywał często niższy od kosztów zabiegów leczniczych; dość powiedzieć, że jedna kąpiel borowinowa wraz z usługą kosztuje w Ciechocinku w pełnym sezonie przeszło 7 zł; nie mówiąc już o innych kosztach, jakie ponosić musi kuracjusz, który korzysta z kąpieli zdrojowych: karta kuracyjna 25 zł, doktór, lekarstwa i t. p.

Z drugiej strony trudno winić to zdrojowisko, które jest chlubą naszych wód, że nie liczyło się z zubożałemi kieszeniami kuracjuszy. Same inwestycje ogrodnicze, utrzymanie parków, klombów i trawników, ciągnących się na znacznych przestrzeniach, musiało kosztować tysiące. Cóż dopiero mówić o inwestycjach poważniejszych, jak np. niepokrytych dotychczas w całości kosztach budowy największego w Polsce basenu kąpielowego, który pochłonął około 4 milj. zł, o konieczności remontu gmachów kąpielowych i t. p. Ciechocinek nie dopuszcza żadnych zaniedbań, wciąż stara się podnosić poziom i reputację kulturalnego, sławnego zdrojowiska. To kosztuje, trudno.

Przymykał więc kuracjusz oczy na drożyznę, płacił ile mu kazali, moczył nogi i ręce w zbawiennem, kosztownem błocie, spijał „gazowaną Nr. 8" solankę ciechocińską i wdychał pachnące jodem, solą i kwiatami powietrze pod tężniami, które mają tę cudowną właściwość, że czyszczą płuca, nos i gardło niby najlepszy filtr — można później lata całe przeżyć i nie dostać ani razu tak dokuczliwej, a częstej choroby, jak katar.

Pod tężniami zbierała się w pogodne dni dzieciarnia w jordanowskim ogródku. Czegóż tam nie było? Huśtawki, olbrzymia piłka, basen z wodą do brodzenia, malutka plaża, drabinki i przyrządy gimnastyczne. Instruktor lub wychowawczyni czuwali nad malcami, organizując im zabawy na słońcu i powietrzu, i młoda mama, która nie chciała mieć kłopotu ze swą pociechą, zapisywała ją do jordanowskiego ogródka, sama zaś — szła tańczyć na dancing w kawiarni na basenie, lub wygrzewać się na 20.000 m. plaży. Basen kąpielowy w Ciechocinku, o ogromnych rozmiarach, 150 m. w kwadracie — to urocza minjatura morza: jest bowiem wypełniony zielonkawą, słoną wodą, „przyprawioną" tak, jak woda w morzu Śródziemnem.

Raj ten oczywiście dostępny był tylko dla zdrowych. Kto miał reumatyzm i leczył się w solance i borowinie, nie mógł kąpać się w zimnej wodzie i spoglądał tylko z zazdrością na szczęśliwców, którzy pływali w basenie jak ryby i skakali z pontonu do wody, jak piłki.

Ale i dla tych „upośledzonych" znalazł się basen, wprawdzie mniejszy, ale zato ciepły, t. zw. cieplica. Zasila ją odkryte zaledwie przed kilku laty źródło radoaktywnej solanki o ciepłocie naturalnej 35° C. Do basenu wchodzi się jak do gorącej wanny. Ale z cieplicą igrać nie można: młoda lekarka w białym kitlu surowo przestrzega przepisu lekarskiego — nie wolno siedzieć w wodzie ani minuty dłużej, niż opiewa lekarski cyrograf. Lekkomyślność w tej mierze nietrudno przypłacić chorobą, solanka w cieplicy działa bowiem niezwykle silnie na organizm.

Kąpano się więc, gdzie kto mógł: dzieci w basenie dziecięcym, młodzież w basenie pod tężniami, starsi i chorzy w cieplicy lub wannie. Wędrowały ulicami zdrojowoiska panie w kąpielowych szlafrokach i panowie w piżamach z ręcznikiem przewieszonym przez ramię.

Do obiadu — swoboda i troska o zdrowie, popołudniu — stroje, tańce, spacery — oto hasło, którem żyli wszyscy.

Piękny koncert orkiestry opery poznańskiej w parku, tenis na wzorowym, czerwonym korcie wśród zieleni drzew, spacer długim wałem ku wybrzeżom Wisły, czy wreszcie dancing na otwartem powietrzu w basenowej kawiarni wypełniały „pracowity" program dnia kuracjusza po brzegi.



Pomnik Traugutta w Ciechocinku



Zagroda dla jeleni w parku

Fontanna „Jaś i Małgosia" w parku



O ZDROWYCH I CHORYCH NERKACH

Po obie strony kręgosłupa, w okolicy I i II kręgów lędźwiowych, znajduje się narząd parzysty, kształtem przypominający ziarna fasoli, tylko dużych rozmiarów, bo około 12 cm. długości, 7 cm. szerokości i 3 cm. grubości. Są to nerki, biologiczny nasz filtr, różniący się jednak zasadniczo od filtrów laboratoryjnych czy domowych tem, że gdy te ostatnie przepuszczają płyn czysty, pozbawiony szkodliwych, zabrudzających go domieszek, nerki — przeciwnie — wynoszą z płynem znajdujące się we krwi substancje nieużyteczne i szkodliwe. I nietylko wynoszą, lecz nawet je wybierają wśród innych płynnych i stałych tworów krwi. W ten sposób stoją nerki na straży przeciwko zatruciom organizmu produktami wymiany materji, jaka wciąż w naszych komórkach się odbywa. Ale na tem nie koniec: wyławiają one i wydalają ze krwi wszelkiego rodzaju jady, bądź to wniesione do krwi w pokarmach i używkach lub w lekarstwach i prawdziwych truciznach, bądź też wytwarzane przez drobnoustroje przy chorobach zakaźnych.

Te substancje szkodliwe, te odpadki ze skomplikowanej fabryki, stanowiącej ludzki organizm, rozpuszczone w wodzie, przesączającej się również ze krwi, stanowią mocz, który z nerek spływa przez moczowody do pęcherza, a stamtąd wypiera się nazewnątrz kurczeniem się mięśniowych ścian pęcherza.

Ostatnia czynność, t. j. wyprowadzanie moczu nazewnątrz, odbywa się kilkakrotnie w ciągu doby, zależnie od naszej woli. Natomiast do pęcherza mocz dochodzi bez świadomego udziału człowieka.

W związku z zastanawiająco subtelną i mądrze pomyślaną robotą nerek znajduje się ich bardzo misterna budowa, którą to budowę na odpowiednio spreparowanym przekroju można badać nawet zapomocą dobrego szkolnego drobnowidza (mikroskopu).

Na przeciętej nerce już nieuzbrojonem żadnemi szkłami okiem dostrzegamy, że narząd składa się ze strefy korowej (czyli peryferycznej, obwodowej) ciemniejszego koloru oraz jaśniejszej wewnętrznej, stanowiącej t. zw. piramidy Malpighiego. W tych właśnie piramidach zawarte są kłębuszki naczyń włosowatych, które przechodzą w kanaliki moczowe. Zawiła budowa tych kanalików, przedstawiających część krętą i część prostą nie nadaje się do krótkiego opisu. Dość jest powiedzieć, że tak w kłębkach jak i w kanalikach powstaje ta selekcja, ten wybór substancyj, podlegających wydaleniu z organizmu, o którym wspomnieliśmy wyżej i który stanowi istotę wytwarzania moczu.

Dawniej myślano, że praca nerek ogranicza się jedynie do roli filtru, że tu odbywa się proces zwykłego przesączania, jak to ma miejsce w martwych błonach zwierzęcych, jednak najnowsze badania wykazały, iż nerki są powołane nietylko do filtrowania, ale również do pewnej pracy syntetycznej, twórczej, polegającej na wytwarzaniu substancyj nowych, których krew nie zawiera. Do takich należy np. kwas hippurowy.

Delikatna budowa nerek, ich skomplikowana praca wespół z częstem narażaniem ich na szkodliwości, jakie powstają skutkiem przechodzenia przez nie rozmaitych znajdujących się we krwi trujących substancyj, powodują liczne choroby tych narządów. A wśród ich schorzeń najczęstsze są ostre i chroniczne zapalenia, czyli nefryty, których istnieje kilka odmian.

Dla uzmysłowienia tych pojęć oderwanych przytoczymy tu dwa przykłady.

* * *

Działo się to nie tak dawno, a jednak jak wiele zmian od tego czasu zaszło!...

Jesteśmy na południowem wybrzeżu Krymu. Bujna roślinność zdobi ten zakątek. W balsamicznem, łagodnem powietrzu szerokolistne palmy skupiły się w kępy wesołej zieleni. Za niemi wznoszą się niebotyczne szczyty pasm górskich, w biel śniegów spowite. Tu sady owocowe, obciążone złotoróżowemi jabłkami, nie kryją zazdrośnie swego uroku przed oczami przechodnia. Ówdzie wzrok pieszczą rozsiane na stokach gór nieskończone winnice, ustrojone bursztynowemi gronami najprzedniejszej winnej latorośli; tam znów — plantacje doskonałego krymskiego tytoniu.

A wśród tej zieleni, przetkanej już nieco jesiennem złotem i purpurą, wyrasta wspaniały pałacyk monarszy.

Stylowe karyatydy i słupy, uwieńczone pomysłowemi kapitelami i architrawami, świadczyły o talencie architekty. Wchodzącego z przedsionka do komnat pałacu olśniewa bogactwo obrazów mistrzów Odrodzenia, rzeźb, plafonów, zbytek boazerji, perskich dywanów i t. p. bogactw.

A przed pałacem nieustannie szumiało spienione, wiecznie ruchliwe morze, dając widok majestatyczny wdal — jak oko sięga.

W jednym z pokoi pałacu na łożu królewskiem dogorywał władca wielomiljonowego narodu, złożony ciężką chorobą — ostrem zapaleniem nerek.

Zagadką pozostanie dla nas, jakie myśli snuły się przez półmgłę śmierci w głowie tego człowieka. Czy myślał on, idąc w ciągu kilkunastu lat przeciwko prądom, nurtującym w społeczeństwie, dusząc wszelką myśl swobodną i owocną, kurczowo trzymając się samowładztwa i despotyzmu, — czy myślał, że spełnił najlepiej w granicach ziemskich swe zadanie? Czyli zeznawał, jak dalekiem było jego panowanie od rządów łagodnych i sprawiedliwych cnotliwego Antonina?

Chory był człowiekiem atletycznej budowy; a siły pozazdrościłby mu niejeden pięściarz z zawodu. Już w lecie był uprzedzany przez nadwornego lekarza o zachwianej sprawności nerek, która się wyraża w przypadłościach nazwanych przez Francuzów „petits accidents du brightisme" (t. j. pomniejsze objawy choroby Brighta, czyli zapalenia nerek), jakoto, odrętwienie palców, częste moczenie, kurcz łydek, poczucie chłodu niezależne od otaczającej temperatury (cryesthesia), krwawienia z nosa, ból głowy, wężykowaty przebieg i rozszerzenie tętnicy skroniowej. Jednak zamiast tego, by udać się na Krym dla suchego i łagodnego klimatu tej dzielnicy, jak mu radził wybitny klinicysta, chory wziął udział w dorocznem polowaniu dworskiem. Stan jego pogorszył się znacznie. Wezwany berliński prof. v. Leyden rozpoznał ostre zapalenie nerek. Chory się przemógł i jeszcze jakiś czas polował. Wreszcie stan jego był już taki, że konieczność zmiany klimatu stała się oczywistą.

Tu zaczyna się drugi okres choroby, okres, przebywany na Krymie.

Przeziębienia, wywołane działaniem chłodu i wilgoci, które w tym razie były skutkiem polowania, nadużywanie alkoholu, jakie również miało miejsce w opisa-

nym przypadku — są częstą przyczyną zapalenia nerek (choroby Brighta). Pozatem choroba ta często wywołuje się przebytemi schorzeniami zakaźnemi. Jednak, jak widzimy, są to przyczyny banalne, które często przechodzą bez złych następstw lub uderzają na inne narządy ustroju. Dla wywołania więc nefrytu (zapalenia nerek) potrzeba jeszcze, aby nerki przedstawiały miejsce zmniejszonej, upośledzonej odporności (locus minoris resistentiae).

Choroba miała przebieg nadzwyczaj szybki: dnia 21 września 1894 roku chory w towarzystwie rodziny przybył do Jałty i Liwadji. Pod datą 9 października syn jego notuje w pamiętniku, iż doktorzy (Grube, Zacharin, Leyden, Weljaminow, Popow) byli zadowoleni z jego stanu zdrowia, a już 19 października nastąpiło zejście śmiertelne.

Objawy choroby były typowe: dotkliwe bóle głowy i lędźwi, gorączka, wymioty, zaburzenia słuchu i wzroku, obrzęki i duszność wysokiego nasilenia, majaczenie.

Choroba kończy się mocznicą, t. j. zatruciem ustroju przez zatrzymanie we krwi szkodliwych pierwiastków, których nie są wstanie wynieść nieudolne nerki.

Tak rozstał się z tym światem Aleksander III, cesarz Wszechrosji.

* * *

W tym samym czasie w dalekim zakątku bezkresnej równiny Wschodu, na chłodnej północy umierał inny pacjent, o chorobie którego nie pisały gazety, do którego nie sprowadzano powag zagranicznych, który nie mógł podróżować do ciepłego klimatu, nie mógł nawet zaradzić zimnu i wilgoci we własnej chałupie.

Cierpiał on nie na ostre, jak w pierwszym przypadku, ale na przewlekłe zapalenie nerek, spowodowane przeziębieniami wśród ciężkiej pracy, kilkoma przebytemi chorobami zakaźnemi, złem odżywianiem: nie mówiąc już o braku witamin, pokarmy nie zawierały w dostatecznej ilości białka i tłuszczu, a w chlebie było dużo trujących domieszek.

To chorował chłop, głupi Iwan (Iwan-durak), bohater wielu bajek ludowych rosyjskich...

Ciasne podwórko, okolone walącym się płotem. Pośrodku gnojówka w najlepszem sąsiedztwie ze studnią.

Pokrzywiona chata z grubą słomianą strzechą, miejscami przegniłą i poszarpaną wiatrem.

Przez niski otwór docieramy do izby. Ciasno, niema gdzie się obrócić. Ściany przesiąknięte wilgocią. Na małej przestrzeni stłoczyła się rodzina, złożona, oprócz gospodarza, z jego żony i czworga wygłodzonych dzieci. Zaduch, do którego przyczynia się i obecność zamorzonego cielęcia.

Na ławce, zasłanej kożuchem, leży chory gospodarz. Już z samego wyglądu można rozpoznać chorobę nerek. Obrzękła twarz zmieniona jest do niepoznania; rysy zatarte; oczy toną pod obrzękłemi powiekami, na powiekach bowiem puchlina najprzód się objawia i szybko postępuje; szpary oczne są zwężone do ostatnich granic. Obrzęki skóry na tułowiu i kończynach, dochodzące do olbrzymich rozmiarów, zniekształciły cały wygląd chorego. Miejscami skóra, rozpierana nagromadzonym płynem poza granice swej rozciągliwości, popękała, dając ujście sączącemu się płynowi obrzękowemu.

Surowica obrzękowa zapełniła również opłucną, osierdzie i otrzewną.

To było ostatnie stadjum choroby, kiedy już nic nie było w stanie zwlec chorego z łoża boleści, kiedy przestały już działać środki nasercowe, moczopędne i napotne.

Chory się dusi; tylko wdychanie tlenu przynosiło mu ulgę.

Taki był koniec biedaka.

„Obok stał lekarz w cichej zadumie,
„W obliczu śmierci bezsilny...
„Gdy ona niesie cios nieomylny,
„Rozum się korzy w swej dumie".

* * *

Przedstawione tu przypadki należą do kategorji bardzo ciężkich, do tego w porę nie leczonych, zaniedbanych. Taki niepomyślny przebieg choroby nie upoważnia nas do nader pesymistycznych wniosków. Leczenie w porę przedsięwzięte, przeniesienie chorego do suchego i ciepłego klimatu w zimie, daje wiele szans zażegnania niebezpieczeństwa.

Oprócz zapalenia nerek istnieje jeszcze cały szereg innych chorób tych narządów, ale na ten raz ograniczymy się do powyższych schorzeń.

Dr. med. Kazimierz Połtowicz.

Sprostowanie omyłki druku.

W artykule p. t. „Post w świetle higjeny" w marcowym Nr. „Rodziny Polskiej" b. r., str. 85, szp. II, wiersz przedostatni wydrukowano: diebetycznych — powinno być dietetycznych.

WIĘCEJ RADOŚCI

Więcej radości! Niech prysną zwątpienia!
Porzućmy smutki, smutek — to wróg.
Niech dni codzienne uśmiech opromienia,
niech zadrży serce radością istnienia
— Na to nam życie dał Bóg!

Wytrwamy w radość życia uzbrojeni —
Choć przyjdzie ciężkiej trosce spojrzeć w twarz —
na filmie życia znów obraz się zmieni.
Nie bądźmy smutnem dzisiaj zniechęceni,
bo dzień jutrzejszy jest nasz!

I dzień jutrzejszy i następnych tyle —
Nie jeden piękny kryją w sobie wschód.
Czyż warto gnuśnieć w przygnębienia pyle?
Kiedy przyszłości czekają nas chwile
i życia woła nas cud?

Umiejmy patrzeć i kochać to życie! —
Tę naszą ziemię, cały piękny świat —
i białość zimy i lato w rozkwicie,
potęgę słońca i ciszę o świcie
i pierwszy wiosenny kwiat!

Więcej radości, napewno jest więcej,
niżeli myślisz — tylko spojrzeć chciej!
Napewno serce ci zadrży goręcej,
gdy dasz zwyciężyć radości dziecięcej.
Dlatego śmiej się, śmiej!!!

Alina Kwiecińska.



Dom A. Mickiewicza w Nowogródku

NOWOGRÓDEK, MIASTO MICKIEWICZA



Ruiny zamku w Nowogródku

Ładną szosą od Nowojelni zbliżałem się powoli do Nowogródka. Ziściło się pragnienie lat wielu — za chwilę miałem ujrzeć kąty Mickiewiczowskie.

Przypominałem sobie fragmenty z życiorysu Wielkiego Mistrza Słowa, — błądziłem po księgach „Pana Tadeusza", w którym tak wiele z tej ziemi.

Nowogródek napozór zwykłe miasto, jakich w Polsce wiele, — pozdrawiał mnie zdala szeregiem białych domków, wśród których wyrastały świątynie.

Zwykłe miasto, jakich wiele — a czemu niespokojnie biło mi serce?

Zwykłe miasto — a przecie jakie inne, bo opromienione wspomnieniami Mickiewicza. — Wielka indywidualność, wielki talent kładzie i na zimnych miejskich głazach swe piętno, którego silny urok trwa wieki. Nowogródek i jego okolica będą po wiek wieków najbardziej związane z Poetą. Tu wśród tych murów, biegał małym chłopcem do szkoły, gdzie pobierał początki języka ojczystego, którego potem stał się mistrzem. Tu młodzieńcem kochał i przeżywał godziny pierwszego szczęścia i zawodów, tu wreszcie, jako początkujący poeta, stworzył pierwsze swe poezje: „Odę o Pożarze" i „Legendę o Mendogu".

Pogrążony we wspomnieniach, anim się spostrzegł jak autobus zatrzymał się w śródmieściu. Wyskoczyłem i pobiegłem zaraz wśród szeregu jakby odświętnie pobielonych domów i czystych ulic, skąpanych w południowym słońcu, na górę zamkową.

Resztki romantycznych murów z XIII wieku, które zdołały przetrwać wieki, stoją dumnie, jak stary, bezzębny, kruchy może, ale wierny sługa na straży miasta.

Z bramy ruin roztoczył się nagle przede mną widok, na rozległe nowogródzkie pola, na ogromne, faliste obszary zieleni, połatane tu i owdzie żółtemi łatami dojrzałych zbóż, poprzeszywane szaremi wstęgami dróg — to ziemie dworów i zaścianków, tak barwnie opisanych przez Poetę, że każde użyte przez nas słowo staje się blade.

Jak trudno oderwać oczy od tych ruin i pól, wśród których nieraz błądził młody Mickiewicz, szukając natchnienia. Od tych zgrzybiałych ruin i tych pól rozległych, co zielonością świeżą i wieczystem pięknem ciągną ku sobie urokiem. Schodziłem wolno z góry Zamkowej, a za chwilę wspinałem się znów na sąsiednią górę, którą koronuje jasna, barokowa fara. Kościół postawiony na miejscu dawnej pogańskiej świątyni, różne przechodził koleje i nieraz był przebudowywany z gruntu. Szacowne jego mury uświetniła ceremonja ślubna króla Władysława Jagiełły *) z ks. Holszańską, w nim rycerstwo nowogródzkie modliło się przed wyprawami wojennemi, w nim sejmikowało, w nim składało wota i fundowało nagrobki. Dziś ubożuchne prawie wnętrze, pozbawione dawnych ozdób, posiada mało zabytków. Ciekawa jest tablica nagrobkowa z 1643 r. Jerzego Rudominy-Dusiatskiego, bogata w postacie i rzeźby. Dalej tablica z długim spisem poległych w obronie ziemi kresowej polskich żołnierzy-bohaterów, tem osobliwa, że wyryto na niej wspólnie imiona żołnierzy innych wyznań, tak, jak wspólnie legli w jednym grobie za wspólna sprawę. Wreszcie trzecia, która głosi, że tu chrzczony był w 1799 roku Adam Mickiewicz. Stamtąd poszedłem dalej w miasto, zwiedziłem kościół Dominikanów, obejrzałem domek Mickiewicza, synagogę, b. pałac Radziwiłłów, dotarłem wreszcie do b. klasztoru SS. Dominikanek. Klasztor ten nęci oko niepokalaną białością swych murów, masywnemi szkarpami i typowemi klasztornemi oknami. Wewnątrz zachował jedynie charakterystyczny system korytarzy i niezliczoną ilość drzwi. Mściwi Moskale wypędzili ciche Siostry, a piękny ongiś kościół rozebrali. Patrząc na „podkowę" gmachu, — odczuwa się silnie brak skasowanego kościoła, któryby zamykał go z czwartej strony. Mimowoli nasuwa się porównanie, że stary klasztor bez kościoła, to jak dawny kontuszowy szlachcic pozbawiony najpiękniejszej ozdoby — wąsów. Upojony przeszłością, która wyglądała z każdego kąta oglądanych zabytków,

(Dok. na str. 304).

*) Dla tych, którzy wybieraliby się do Nowogródka i okolic, polecam doskonałą pracę inż. J. Żmigrodzkiego „Nowogródek i okolice" i Wł. Larouy „Nad błękitnym Niemnem", skąd czerpałem daty i niektóre fakty historyczne.



Ruiny zamku w Nowogródku z widokiem na pola



Stylowe sukiennice w Nowogródku (Fot. J. W. Helbich).



B. klasztor SS. Dominikanek w Nowogródku



Nowozbudowany pomnik w stolicy

KRÓLOWA ASTRID

Niełatwo być monarchą, a zwłaszcza dobrym monarchą. Trzeba do tego być człowiekiem, pełnym i dobrym człowiekiem.

Zmarła tragicznie królowa Astrid była niewątpliwie takim człowiekiem. Wysokie stanowisko, jakie osiągnęła, jeszcze podkreśliło w niej przyrodzoną dobroć i szlachetność, prostotę i uczynność.

Młoda królowa nie dała się pociągnąć zewnętrznym odznakom swego dostojeństwa. Przeciwnie starała się to dostojeństwo wzbogacić i pomnożyć osobistą zasługą, pracą, wysokim poziomem życia i gotowością do służby publicznej.

Było to zaś wcale niełatwe, jeśli się zważy, że naród belgijski oczami obecnego pokolenia widział już wzór niezrównany służby publicznej ze strony monarchy i jego żony.

Cała Belgja nie zapomni nigdy swego króla-bohatera, Alberta Wielkiego, wspaniałego, nieustraszonego żołnierza na polach bitew w zmaganiu się z toutońskim najeźdźcą, a niemniej znakomitego gospodarza, który po zniszczeniu wojennem rychło podźwignął kraj z ruiny gospodarczej i zamętu społecznego.



Królowa belgijska Astrid

Przy jego boku jaśniała niezwykła postać jego małżonki, królowej Elżbiety. Pamiętają ją żołnierze, jak pod Ypres i Dixmuidem w czasie huraganowego ognia artylerji niemieckiej kierowała akcją sanitarnej kolumny.

Któż z tych, co byli na polach Flandrji w najcięższe godziny ataków, może zapomnieć te pióropusze dymu i piachu, od pękających wokół lazaretów królowej pruskich granatów.

Wobec takich poprzedników na tronie, niełatwo jest osiągnąć poziom równie wysoki.

Niełatwo, że czasy młodości i warunki życia królowej Astrid dalekie były od tej bohaterskiej atmosfery, w której szybko wstępuje się na piedestał. Gdy belgja walczyła, ze swą rodziną na czele, a potem ocierała łzy i koiła rany, młodociana księżniczka Astrid odbywała całkiem prozaiczne przeszkolenie praktyczne. Uczyła się gotować, szyć, pielęgnować dzieci, pełnić służbę samarytańską.

Czytaliśmy nieraz i oglądaliśmy fotografje księżniczki Astrid, jak zajmuje się w białym fartuchu i czepeczku zajęciami gospodarskiemi i pielęgniarskiemi.

Ale choć to nie była szkoła bohaterstwa, choć dobrze ugotowany obiad nie tak bezpośrednio decyduje o losach państwa, to jednak i w ta-



Król belgijski Leopold III.



Stawała się dla swego narodu jakąś dobrotliwą księżniczką z z bajki Andersena, która, gdzie stąpi, tam kwiaty rosną, i serca ludzkie biją żywiej i zgodniej.

Stosunek narodu do księżniczki najlepiej bodaj scharakteryzował burmistrz Antwerpji w powitaniu książęcej pary:

— Kiedyś nasze dzieci będą słuchały z zapartym oddechem opowieści o tem, jak to piękna królewna przybyła z dalekiej północy, by pokochać naród swego małżonka i wraz z nim pracować dla jego dobra. Niema w Belgji ro-

Królowa Astrid po śmierci

kich drobnych, szarych sprawach, okazać się może prawdziwy, pełnowartościow człowiek.

Dla społeczeństwa belgijskiego zresztą te kwalifikacje czysto gospodarskie mają ogromne znaczenie, gdyż istnieje tam głęboki kult życia rodzinnego i ogniska domowego.

Że więc młoda księżniczka, narzeczona a następnie żona następcy tronu umiała gospodarować, że nie obce jej były tajniki kuchni, to była wcale dobra legitymacja.

To zbliżało królewnę do każdej przeciętnej Belgijki, która przecież musi myśleć o swych garnuszkach, poduszkach i co tam jeszcze.

Lecz to nie jest wszystko. Ważniejszą było rzeczą, że królowa Astrid weszła w lud, że jak ongiś matka jej męża na polach walki, tak teraz w chwili kryzysu, który dotknął przemysłową część kraju, stanęła na czele organizacyj śpieszących z pomocą bezrobotnym. Jako zwykła członkini Belgijskiego Czerwonego Krzyża nawiedzała mieszkania ubogich, niosąc doraźną pomoc.

Lecz nie zapomniała drogi do tych mieszkań, gdy została później niespodzianie królową. Stąd wywołała w sercach swego ludu żywe uczucie miłości i wdzięczności i przydomek „naszej Astrid" — naszej gwiazdy pocieszenia ubogich i nieszczęśliwych.

Za jej miłość bliźniego odpłacano miłością i przywiązaniem.

Nie było Belgijczyka, któryby z uczuciem przyjaźni i jasnym uśmiechem sympatji nie odwrócił się za idącą przez miasto królową, nieraz popychającą jedną ręką wózek z infantem, a drugą prowadzącą córeczkę.

Taki widok uderzał nieraz oczy spacerowiczów Ostendy. Wśród gwarnego i strojnego tłumu międzynarodowych gości przesuwała się cicho i niepostrzeżenie, bez żadnej ostentacji ubrana księżna Astrid. Dziewuszka, rozkoszne bobo, domagała się koniecznie balonika. A królowa z ujmującą prostotą i z jasnym uśmiechem na ustach kazała sprzedawcy podać jeden z baloników, taki najbardziej ze wszystkich niebieski. To był jej ulubiony kolor...

Królowa uśmiechała się do wszystkich i wszyscy mieli wzajem przyjazny dla niej uśmiech.



Król Leopold III za trumną swej małżonki

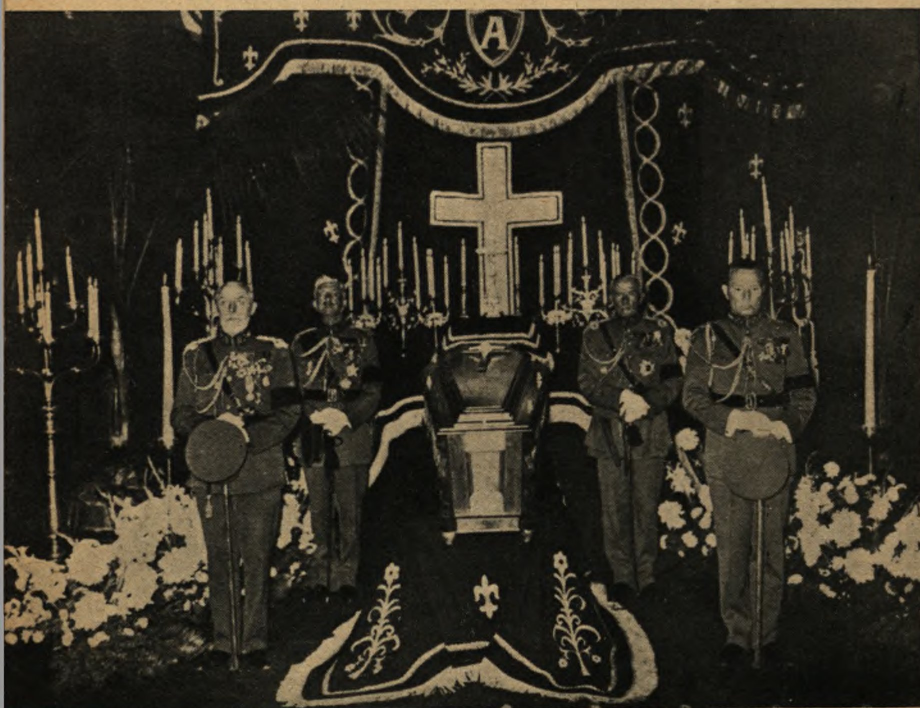


Przed pogrzebem królowej Astrid



Królowa Astrid z dziećmi

Warta przy trumnie królowej Astrid



dziny, któraby nie odnosiła się do osoby Pani z prawdziwą sympatją. Przyjdzie czas, że ta sympatja zamieni się w przywiązanie i miłość...

Czyż w tych warunkach trudno jest wyobrazić sobie wrażenie strasznej wieści, która przybyła lotem iskry telegraficznej z nad jeziora Czterech Kantonów, wieści żałobnej, że królowa Astrid zginęła.

Zginęła w katastrofie automobilowej, zginęła w aucie, które sobie sama wybrała na wystawie brukselskiej, w aucie o jej ulubionym kolorze.

Wypadła z niego wyrzucona w strasznej kraksie na fiołkowy kobierzec jeziora. Wypadła, jak gwiazda spadła w sierpniowy wieczór w toń nieba, „nasza Astrid" — gwiazda Belgów.

Nie chciano wierzyć tej żałobnej wieści.

A gdy o pierwszej w południe flagi opuszczono do pół masztu, zamarły w żalu serca Belgów. Kraj okrył się żałobą. W każdem oknie pojawiła się podobizna królowej, przewiązana krepą.



Tłumy odprowadzające królowę Astrid na miejsce wiecznego spoczynku

JESIENNA FALA BAŁTYKU

W pogodny, wrześniowy dzień dwa statki kaprów, czyli korsarzy królewskich, Imci Panów Wąsowicza i Sierpinka, stanęły w porcie gdańskim.

Było to w epoce prób stworzenia polskiej floty na Bałtyku przez ostatniego z Jagiellonów.

Rozpaliła się w owych czasach wojna pomiędzy Fryderykiem II, królem duńskim, a Erykiem XIV, królem szwedzkim, i Rzeczpospolita wzięła w niej udział po stronie Danji. Wtedy Zygmunt August powziął plan poparcia dalekiego swego sprzymierzeńca — na morzu. Gdy chciwe bogactw, a lękające się o swe wolności miasto Gdańsk wymówiło się od dostarczania pomocy, zgłosiło się dwuch zuchwalców, którzy, posiadając własne statki, uzyskali od króla pozwolenie na prowadzenie wojny korsarskiej.

Zygmunt August nietylko przeznaczył im na własność cały przyszły łup zdobyty, ale nadto poddał ich pod opiekę własną, uwolnił od grodzkich sądów gdańskich i swoim kosztem zwerbował im marynarzy. Poczem puścił ich na łaskę szczęścia i dzielności na niespokojne losy i wody.

Panowie Sierpinek i Wąsowicz mieli zadanie niełatwe. Obowiązkiem ich było przeszukiwać okręty handlowe z Anglji i Niderlandów, zabierać kontrabandę i bronić wybrzeży. Musieli natomiast uchodzić przed dobrze uzbrojoną flotą szwedzką, która gotowa była ścigać ich do samego Gdańska, oraz strzec się współzawodniczych korsarzy cudzoziemskich. Mieli nadto, jako cel dalszy, przeszkadzanie żegludze narewskiej, gdyż w owym to czasie, od 1.550 roku potęga moskiewska zdobywała Narwę i spojrzała ku Bałtykowi.

Zdobyczą ich natomiast bez żadnej wątpliwości stawał się każdy handlowy okręt szwedzki lub moskiewski. Między obu kaprami wybuchły jednak wkrótce spory.

Spowodowała je różnica temperamentów. Wąsowicz, bardziej śmiały, zapalał się do niebezpieczeństwa, zdawał się zazdrościć sławy flibustjerom francuskim, prowadził też wojnę często na własną rękę i tak, jak mu kazała fantazja. Na statku jego po dniach wytężonego pościgu panowały dnie słodkiego lenistwa, kapela grała, a okręt płynął sobie jak chciał po niebiesko-siwych falach Bałtyku.

Ale w towarzystwie swojem miał młodego przyjaciela, niejakiego Piotra Hellburga, z rodziny szlachty pomorskiej, od lutyckich książąt się wywodzącej, który namawiał go do wypraw coraz śmielszych. Porzucając wybrzeże polskie i inflanckie, pociągnęli pod Regal w Estonji i tam kolejno, zanim się wieść rozniosła, jak ryby w sieć łowili statki handlowe moskiewskie. Zamknęli tak dostęp do portu i byliby może nawet wykonali napad na miasto, poto tylko, by dać dowód, że nie lękają się żadnych niebezpieczeństw, gdyby nie to, że drogę powrotną zastąpił im okręt korsarski moskiewski. Rzucili się na przeciwnika, zmusili go do ucieczki z niemałym obustronnej krwi przelewem, ale, że nabrali już rozpędu, więc skierowali się spowrotem wzdłuż wybrzeży pruskich, ku Gdańskowi.

Pan Sierpinek, kupiec z pochodzenia, rozumując więcej po kupiecku, ruszał na przedsięwzięcia jedynie pewne. Z tego jednak właśnie powodu uchylała mu się wszelka większa zdobycz. Natomiast odznaczał się większem okrucieństwem i łatwo nieprzyjaciółmi zdobił maszty, gdy na okręcie broniącym się znalazł kontrabandę. Nie było w tem nic w owej epoce dziwnego, gdyż korsarze wiedzieli, że w razie ujęcia czeka ich samych, jak zwykłych zbójców, ścięcie na placu publicznym. Ale, cogorsza, oskarżono go, że rzucał się nawet na handlowe statki duńskie, wywołując słuszne skargi zaprzyjaźnionego z Rzeczypospolitą króla Fryderyka. Niebardzo więc trzymał się tamtych dwóch wojowników kompanji. Teraz jednak, widząc, że wracają w sławie, a z łupem o wiele od niego bogatszym, dołączył się do nich i razem stanęli u ujścia Wisły, w pobliżu Gdańska, przy latarni.

Do samych bulwarków dojechać nie mogli, gdyż płytki port nie dawał dostępu nawet sporszym okrętom kupieckim.

Stanęły dwie wielkie nawy na tle potężnego morza, uspokoiły się na kotwicy, chłopcy strażujący zeszli z najwyższego masztu, żagle na sznurach odpadły, wiatr wydymał tylko zostawione dla odznaki polskie bandery.

Już załoga gotowała się do wylądowania, gdy przysłany pachołek miejski zwiastował przybycie rychłe burmistrza Klefelda.

Klefeld był równocześnie przełożonym kaprów w myśl polityki królewskiej, który, obdarzając go tą godnością, spodziewał się pozyskać dla swych planów miasto. Można strażnica Wisły jednak spoglądała na korsarzy niechętnie. Przeszkadzali jej, krępowali swobodę prowadzenia handlu z kim zechciała, napełniali ją lękiem, by potęga królewska nad nią nie wyrosła. Dlatego też ku okrętom nie ruszył nikt z miejskich patrycjuszy, a sam burmistrz wyszedł naprzeciw nie uroczyście, ale w szatach codziennych, spełniając obowiązek, by przyjąć sprawozdanie z wyprawy i upomnieć się o dziesięcinę, która według zwyczajów owych czasów przynależną była władcy kraju.

Natomiast załogi stojących w porcie żaglowców duńskich, hanowerskich, angielskich, holenderskich, nawet hiszpańskich ruszyły ciekawe, by zobaczyć choć zdaleka nowych morskich przeciwników. Za nimi ściągnęli i flisy polscy, którzy z galarami pełnemi zboża stali o tej porze licznie u ujścia rzeki.

Burmistrz nadszedł. Zaproszono go najpierw na okręt pana Wąsowicza, który przyjął go w pancerzu cyzelowanym, berecie włoskim z piórem, z czekanem za pasem, a wschodnią szablą przy boku, gościnny i zadowolony z siebie, że może zdobycz swoją pokazać. Za nim stanęła załoga cała, wilki morskie i włóczęgi, zbieranina ze wszystkich krajów, ale przecież z Kaszubów rodzimych przewagą. Stanęli, jeżąc się groźnie berdyszami, toporami i hakami do przyciągania obcych okrętów, trzymając w ręce muszkiety, uzbrojeni nieregularnie, ale starając się zachować paradę wojskową.

Zaproszono także i pana Sierpinka. Spojrzał burmistrz z zazdrością na bogate łupy, które częściowo rozłożono na pokładzie wśród dział. Z kupiecką ciekawością brał do ręki rzadkie futra, kołpaki, wschodnie materje, atłasy, srebrem tkane chresty i suknie jedwabne, a prócz tego leżącą pokotem broń, muszkiety, samopały dońskie i pistolety, a nadto klejnot prawdziwy, złocistą moskiewską chorągiew z Bohorodycą.

— Nie mogę się żalić — chełpił się pan Wąsowicz — na brak łupu. Zanim się o nas wieść rozeszła, brać ich można było łatwo. Nie zapomniałem też o swoim domu. Po drodze spotkałem okręt, który wiózł pełno kafelek z Delft. Wyłożę tam sobie niemi ściany, jako teraz jest moda zagranicą. Będę patrzyć na wymalowanych na nich ludzi morskich i budynki, i w starości jeszcze przypominać sobie będę dzieje tej podróży.

Jakoż kafelki te zajęły burmistrza, który znał się na sztuce. Wszakże do tego Gdańska, w którym się wychował, zwozili bogaci patrycjusze na budowę domów rzeźbą kryty marmur z Florencji. Dlatego też uważnie przyjrzał się tym wyrobom i podziwiając je, dodał jednak z odcieniem własnej pychy:

— Piękne to, nie piękniejsze jednak od kominka, który mamy, wyrobiony na miejscu, w Dworzyszczu Artusowym.

— Mało bo też wyrobów na świecie gdażeńskim równe... — odparł grzecznie pan Wąsowicz. — Mam tu jednak coś także dla Waszej Miłości... — i, prowadząc go do jednej ze skrzyń, wydobył niepospolitej wagi łańcuch złoty. — A tu — dla króla Jegomości...

Był to kielich na wino półgarncowej objętości. Czarę wyżłobioną z kryształu górnego podtrzymywała rzeźbiona złota podstawa. Przedstawiała ona okręt złoty ze srebrnemi żaglami, bijący się z falami morza. Z morza tego wychylały się śpiewające Syreny i Tryton, który w ustach wydętych róg trzymał. Kielich ten, ozdobiony drogiemi kamieniami, posiadał dla złotnika wielką cenę, ale większą jeszcze jako dzieło sztuki. Co ważniejsze, na czarze były wyrżnięte herby Szwecji.

— Jest to — ciągnął pan Wąsowicz — dar króla Fryderyka dla cara Iwana za wystawienie pierwszych statków korsarskich. Słuszniej jest zatem, aby dar od nieprzyjaciela spoczął w skarbcu naszego łaskawego króla Jegomości.

Datki te, poza dziesięciną, zdawały się rozpogadzać Klefelda. Równocześnie gospodarz dał znak, zagrzmiała muzyka i poczęto prosić go do stołu:

— Zanim będziemy pana naszego część odbierać, na co i jutro czas będzie, prosimy Waszą Mość na węgrzyna. Puchary nasze nie będą równie piękne, ze szkła prostego, zato, jak nasze serce — obszerne.

Burmistrz jednak, chmurny znowu, wymówił się, bo kazał już dla nich nagotować wieczerzę w domu. Wypiwszy więc w ręce gospodarza kielich podanego sobie wina, udał się na pokład drugiego statku. Nie znalazł tutaj równie cennych rzeczy, leżących, jak prawdziwa zdobycz, w obfitości i bezładzie, ale pan Sierpinek miał zato pełne skrzynie talarów, przeważnie ze sprzedaży łupu, który się do długiego trzymania nie nadawał. Poczem z obu statków wzięli pachołkowie skrzynki z podarunkami dla pani burmistrzowej i tak udali się razem obaj korsarze z burmistrzem, poprzedzani dla przepychu strażą żołnierzy okrętowych, do miasta.

Zapadł już zmierzch, więc na statkach zapalono latarnie. Równocześnie morze rozpoczęło się silniej kołysać, więc Klefeld mruknął tonem znawcy, bo wszakże te wody przyniosły jego bogactwo i znał je od dziecka:

— Oho! idzie fala jesienna:

Szła fala jesienna, pienista, rzucająca bursztynem na brzegi i niosła, gdzie wzrokiem objąć, szum potężny. Uderzała o wybrzeża skaliste, sosnami kryte i zalewała długie piasków płaszczyzny, obijała się o porty i strzelisto zbudowane miasta, poruszała okręty wszech ziem i wszech narodów, tutaj jednak, poniżej ujścia rzeki zaledwie kołysała stojące statki. W zmierzchu wydawały się kontury wielkiego grodu bardziej jeszcze chmurne i fantastyczne. Wtem z wieży ratuszowej uderzył zegar godzinę siódmą. I oto naraz odezwała się melodja dzwonków, melodja czarodziejska, dźwięcząca pieśnią i unosząca w zaświaty fantazji harmonijnym brzękiem mijającej chwili.

Nie prowadził burmistrz jednak korsarzy do ratusza, ani do Dworca Artusowego, ale podjął ich prywatnie w domu swoim przy Długiej ulicy. Wokół na renesansowych gankach, schodzących na ulicę, pełno było rodzin kupieckich, które, korzystając z ciepłego dnia, poiły się świeżem powietrzem i ciszą wieczoru. Gdzieniegdzie słychać było lekkie pobrzękiwanie muzyki. Burmistrza witano poufale, ale wszędzie głosy milkły, gdy dowiedziano się jakich wiedzie gości. Było to milczenie bardzo chmurne i niechętne.

Klefeld wprowadził towarzyszów swoich na pierwsze piętro. Była tam komnata jasno oświecona, wygodna, ze wspaniałemi sprzętami z dębowego drzewa. Miały one swoją tradycję i wiek, bo na szafie było jasnym inkrustem nałożone: „A. D. 1524”.

Zaniesiono skrzynki do pani burmistrzowej. Straż zostawiono na dole. Do komnaty weszli: dwudziestoletni, gołowąsy syn Klefelda i szwagier jego Stumberg, zażywny i pewny siebie miejski urzędnik, by przeprosić, że pani na ucztę przyjść nie może, gdyż jest niezdrowa, ale że dziękuje za podarki. Wąsowicz i Sierpinek czuli się nieco dotknięci, bo rozumieli, że przeraziła się ich rzemiosła korsarzy. Niebardzo też im dobrze było w tem towarzystwie. Zwłaszcza pana Wąsowicza, który przywykł na ucztach do hałasu, krępowała cisza, majestat sali i powaga gospodarza.

Rozpogodzili się rycerze nieco, gdy przyniesiono im wódkę gdańską w szklannej flaszy ze sławnego już handlu „Pod łososiem" i gdy przed nimi ustawiono kielichy na węgrzyna.

Uczta była dostatnia, złożona z pieczonych czeczostek, żubrzej pieczeni, dobrze skruszałej, i biamek migdałowych.

Podpili też już sobie dobrze i podjedli, ale mimo wszystko czuli się dziwnie obco. Zapas humoru nie miał się gdzie uzewnętrznić. Mieli wrażenie, że młody Klefeld i Stumberg raczej boją się i szpiegują, aniżeli biorą udział w zabawie.

Poczęło to drażnić nawet spokojnego więcej napozór, ale ambitnego i bardzo gwałtownego Sierpinka.

Wieczerza kończyła się, gdy pod domem usłyszeli szczęk broni i wymyślanie sobie wzajemne czeladzi. Na pierwszy plan wybiły się dobrze rozwinięte głosy ich pachołków. Chcieli śpieszyć z pomocą, gdy stary Klefeld powstrzymał ich:

— Proszę waszmościów pozostać! Ja tu jestem, wszystko zaraz będzie w porządku.

Zeszedł, a oni czekali niecierpliwie, imając się za oręże. Za chwilę wrócił zadowolony, znać, że mu wszystko poszło po myśli.

— Co się stało? — spytał Wąsowicz.

— Rzecz zwykła — odrzekł pan Klefeld. Miejska straż zastała przed moim domem ludzi uzbrojonych o tej porze, gdy nie wolno nikomu zatrzymywać się na ulicach. Pachołkowie waszmość panów nie chcieli ustąpić.

— Wasza Miłość oddaliła więc straż? — spytał pan

— Odesłałem żołnierzy waszmościów panów ku okrętom i powiedziałem, że taka jest wola waszmościów.

— I waszeć odesłał naszą asystencję, straż ludzi królewskich? — spytał, blednąc, pan Sierpinek.

— Nie wiedziałem, że waszmościom zrobię taką dywersję — odparł chłodno burmistrz. Mogę zato wasze miłoście odprowadzić do okrętów sam i z miejską strażą.

— Mogłeś Waszmość zrobić dla nas wyjątek od swoich miejskich praw. W całej Rzeczypospolitej wolnoby nam było ze swoją strażą chodzić.

— Od praw naszego miasto natomiast niema ustępstwa nawet dla króla jegomości! — rzekł Stumberg, dotąd posępny i milczący.

— Wasze obrażasz króla! — krzyknął pan Wąsowicz, nadając swej mowie umyślnie ton ubliżający.

— Zapomni o tem, gdy znowu poprosi miasto o pożyczkę na wojnę! — odparł tamten.

Nato pan Wąsowicz, którego podnieciły świeże zajścia, uraza, gniew i wino, cisnął na stół szklany kielich, tłukąc go przed pochyloną twarzą Stumberga.

Stumberg tchórzliwie pobladł, lecz chciał zwrócić się ku niemu, gdy czujny burmistrz wstrzymał go okrzykiem:

— Zapominacie, gdzie jesteście. Nie u mnie będziecie się bili, waszmościowie!

A Wąsowicz, w którym wezbrała cała wzgarda spowodu tej nieszlacheckiej, milczącej uczty, wołał:

— Znam was, zdrajcy! Szarpiecie się nawet na imię królewskie. Czemuż to? Boicie się o kąt swój i pierzyny. Kazano wam w roku zeszłym ująć w porcie sześć okrętów szwedzkich, któreście w garci mieli, a wy pozwoliliście im odjechać swobodnie. Kupczyć wam jeno a przedawać, czartowi oddalibyście duszę za pieniądze. Lękacie się dołożyć trochę krwi i trudu do dobra Rzeczypospolitej, która was żywi, a wszystko, aby talara nie stracić, swawoli jednej nie uronić. Prosicie nas na wieczerzę, a uczciwem słowem do nas się nie odezwiecie! Czekajcie tylko, a da Bóg, stanie tu cała polska potęga na Bałtyku. Ja jestem pierwszym, ale za mną będzie dziesięciu innych. Co z wami stanie się, gdy wtedy będziecie musieli jeździć całować rękę królewską i o łaskawość ją prosić?!

Burmistrz starał się zwaśnionych pogodzić. Ale panowie Sierpinek i Wąsowicz nie chcieli już pozostać. Zmówili się z Klefeldem na nazajutrz rano, pozostawili strwożonych mieszczan, a sami poszli spać na okręcie.

Kiedy rozeszli się wszyscy, burmistrz w pokoju swojej żony, która oczekiwała go już leżąc w łóżku, otwarł skrzynki z podarkami, a tocząc przez palce lśniące srebrnym połyskiem sznurki pereł i korali, tak — razem zadowolony i niechętny — prawił:

— Dobrze, żem odesłał żołnierzy tych hultajów. Obawiałem się jakiejś burdy, więc zesłałem im straż miejską na karki. A oni się tu zaraz w moim domu do korda brali! Bóg miłościw, że za wszystkie strapienia, które mam z ich powodu. mnie pozostał złoty łańcuch, a z tych pereł będzie piękny czepiec dla pani burmistrzowej. Muszę ja jednak tych pyszniących się frejbajterów przykrócić, by nadto nie wyrośli!...

Panowie Sierpinek i Wąsowicz wracali na statki dumni i pewni siebie, nie wiedząc, że dziś był dopiero wstęp do dramatu, który miał się odbyć za trzy lata. Wypędzono wówczas z miasta bezprawnie kaprów, kilku śmiercią ukarano, a gawiedź rozpędziła budowniczych, stawiających pałac królewski.

Rozpoczęły się długie instygacje sejmowe. Klefelda razem z drugim Gdańszczaninem, śpieszącego na sejm, uwięziono i zamknięto w wieży na zamku w Piotrkowie, ale wypadki powstrzymały narazie, wbrew intencjom króla, stworzenie polskiej potęgi na Bałtyku.

Mieczysław Smolarski.

Dokończenie: Nowogródek, miasto Mickiewicza.

z przeszłością, związaną wielokrotnie z Mickiewiczem, poszedłem na rynek, by zobaczyć jak żyje miasto w swojej dzielnicy handlowej.

Na środku rynku dominują piękne, empirowe sukiennice, pod ich stylową kolumnadą mieszczą się liczne sklepy-kramy, w których można dostać wszystko. Dzień był targowy, budynek naokoło obsiadły rojem wozy chłopskie z produktami wsi, ruch panował wielki i ożywiony.

Zmieszałem się z tłumem, przysłuchiwałem się z uwagą rozmowom i musiałem wymijać zgrabnie, rozstawione ogromne ilości pyzatych garnków, które, o dziwo, można znacznie taniej tu dostać, niż w Tow. Pop. Przem. Ludowego.

W jednej z bocznych ulic zawarczał autobus i ochrypłym głosem trąbki wzywał do odjazdu.

Za chwilę w stalowem, trzęsącem się niemiłosiernie, pudle opuszczałem z żalem miasto, które odrazu pokochałem, opuszczałem wesołe zaścianki, ciche wsie i białe dwory, rozrzucone wśród falistej, słonecznej Nowogródczyzny...

Jerzy W. Helbich.



Z PIŚMIENNICTWA

Jules Verne a katolicyzm. Na rok bieżący przypadło trzydziestolecie śmierci pisarza, który swemi fantastycznemi powieściami dostarczył rozkosznych przeżyć miljonom dorosłych i młodzieży. Jules Verne należy do najbardziej poczytnych autorów świata, a zdobył to nie skandalicznością treści, jak to było np z Karolem Mayem, ale niesłychanie bujną fantazją, dzięki której przewidział szczegółowo całą masę wynalazków, dopiero nam dostępnych do oglądania. Według oświadczeń wybitnych uczonych współczesnych, „wszystkie narody, mogące się poszczycić postępami na polu nauki, kultury i cywilizacji, poprzestają — mówiąc ściśle — na realizowaniu pomysłów Verne'a". Fantastyka fabuły łączyła się zawsze u niego z tendencją moralną, na którą kładł nacisk szczególny. Ideałem jego była taka powieść, by brat mógł czytać jego książki siostrze, „nie potrzebując się rumienić". Wynikało to wszystko z pobożności Verne'a, toteż za najchlubniejszą ocenę swego dzieła pisarskiego uważał te słowa, które usłyszał na dłuższej audjencji z ust Leona XIII. Ojciec św. udzielił mu błogosławieństwa dodając: „Idź pan dalej tą zbożną i wielką drogą!" Miły mu również był hołd londyńskiej Ligi Chłopców, która s w e m u pisarzowi ofiarowała laskę ze złotą rączką; mniej zato miłe musiały mu być bajki, krążące jeszcze za jego życia o tem, jakoby był żydem polskim z Płockiego — Juljuszem Olszewiczem, gdy wrzeczywistości urodził się jako syn adwokata z Nantes. Najzabawniejsze, że świeżo bajkę tę przypomniał w W i a d o m o ś c i a c h L i t e r a c k i c h... Adolf Nowaczyński. Dziś w nią wierzy, choć pięć lat temu zwalczał ją, ale w prasie... endeckiej. Trochę zaczęsto Nowaczyński wierzy w rzeczy, z któremi niedawno walczył! Dowodem „spolszczenia" francuskiego pisarza może być tylko fakt, że znamy u nas Wernego, a nie Werna, jak go należy wymawiać poprawnie. (ch)

Prus-powstaniec. W Warszawie wykonana została dla gimnazjum siedleckiego bronzowa tablica pamiątkowa, która ma upamiętnić pobyt Bolesława Prusa w murach tej szkoły. W Siedlcach spędził Prus właściwie tylko rok szkolny 1861/62, w życiu jego jednak był to rok bardzo ważny, ponieważ wypełniła go praca konspiracyjna w przededniu powstania styczniowego. Starszy o lat dwanaście brat Prusa — Leon Głowacki, który był nauczycielem w gimnazjum siedleckiem, był jednocześnie wybitnym organizatorem powstańczym. On to wciągnął do pracy młodszego brata, który pod jego kierunkiem prowadzić musiał agitację na rzecz powstania wśród uczniów. Kiedy zaszła potrzeba, ruszył w pole, wstępując do oddziału Karola Krysińskiego i walcząc w tym oddziale pod Siedlcami, Stokiem Lackim, Dziecinowem, Fajsławicami, Białą Wsią. Kilkunastoletni Prus okupił swój poryw i więzieniem, i ciężką chorobą. Monografista jego lat powstańczych — Jerzy Maliszewski w broszurze z r. 1933 pisze na podstawie dokumentów archiwalnych: „Wskutek otrzymanej kontuzji przez całe życie cierpiał na oczy oraz na chorobę przestrzeni, które to cierpienia niewątpliwie pozostają w związku przyczynowym z ową kontuzją (silny wstrząs nerwowy), odniesioną w boju pod wsią Biała." Po paromiesięcznej mordędze w więzieniach siedleckiem i lubelskiem Prus został zwolniony jako małoletni. Pewne dalekie echa lat powstańczych wyczuć można w „Lalce", gdzie Wokulski też jest uczestnikiem powstania styczniowego. Nie byłby nim napewno, gdyby Prus nie porzucił gimnazjum siedleckiego celem przyłączenia się do oddziału Krysińskiego! (ch)

Losy bibljoteki księżny Wirtemberskiej. Dopiero teraz ujawniają się losy bibljoteki księżny Wirtemberskiej — autorki „Malwiny": oto została ona zrabowana przez ciemną postać czasów polistopadowych — Aleksandra Massona, który w okresie powstania styczniowego był naczelnikiem poczt Królestwa Polskiego. Stwierdzenie tego faktu jest bardzo ważne dla historji literatury, dzięki temu bowiem część tej bibljoteki da się odnaleźć. (ch)

Nestor pisarzy polskich. Jest nim Aleksander Świętochowski i to nietyle ze względu na sędziwy wiek, co raczej ze względu na liczbę lat, która oddziela nas od wydrukowania jego pierwszego utworu. Zwykłe epitety dla określenia jubileuszu są niewystarczające; dawno już poza sobą ma Świętochowski nawet jubileusz brylantowy swej pracy pisarskiej, bowiem 9 listopada rb upłynie lat s z e ś ć d z i e s i ą t o s i e m od ukazania się w T y g o d n i k u I l l u s t r o w a n y m artykułu pt K a ź m i e r z d z i s i e j s z y. Świętochowski miał wówczas lat osiemnaście. Kazimierz nad Wisłą był miastem, gdzie spędził swe dzieciństwo, chociaż urodził się w Stoczku. Sprawę tę wyświetlił na szpaltach Z i e m i dyr. Stefan Rygiel: „Ojciec Aleksandra — Feliks, właściciel posiadłości ziemskiej pod Stoczkiem i zastępca nauczyciela miejskiego w Stoczku, ożeniony z córką burmistrza tego miasta — Michaliną Skupiewską, wkrótce po urodzeniu się syna Aleksandra (więc po roku 1849) przeniósł się do Kazimierza na posadę nauczyciela szkoły elementarnej (był nim do r. 1864-go) i sprzedał posiadłość pod Stoczkiem, nabywając równocześnie folwark Wyłągi w gminie Celejów powiatu puławskiego, pod samym Kazimierzem." Liczebnie twórczość Świętochowskiego nie jest pokaźna, był on jednak pisarzem o ogromnem oddziaływaniu społecznem. „Słowa Aleksandra Świętochowskiego budziły we mnie wszystkie podświadome tęsknoty" — tak mówił w wywiadzie radjowym gen. Kazimierz Sosnkowski jeszcze 12 września rb. Gdyby zestawić indeks duchowych uczniów Świętochowskiego, znalazłyby się tam najświetniejsze nazwiska Polski wyzwalającej się i Polski niepodległej. (ch)

Poeta w tiarze. Jarosław Iwaszkiewicz przetłumaczył patetyczny utwór wybitnego liryka niemieckiego — Stefana Georgego pt L e o n X I I I. W tekście utworu przytoczone jest sześć wierszy z poematu samego Leona XIII, gdyż pisał on dużo po łacinie. Poza wierszami religijnemi układał szarady i drukował je nawet jako papież. (ch)

Na progu sezonu. Czego możemy się spodziewać w najbliższym czasie — po wakacyjnym zastoju na rynku wydawniczym? Wielu rzeczy interesujących. Oto nieco wiadomości, zebranych u źródła! Przedewszystkiem wyszła nowa powieść Zofji Nałkowskiej pt G r a n i c a, która leżała wydrukowana od wiosny. Andrzej Strug wydaje M i l j a r d y, Jalu Kurek — powieść reportażową o ostatniej powodzi pt W o d a w y ż e j, Pola Gojawiczyńska — tom felietonów dziennikarskich. Jan Parandowski zaczął w jednym z dzienników druk swej nowej powieści pt N i e b o w p ł o m i e n i a c h. (ch)

JAN ŁEBKOWSKI: Dalje (georginje) — Warszawa 1935, cena 1.50 zł, z 38 rycinami oryginalnemi.

Kto z nas nie zachwyca się w ogródkach kształtem, bogactwem kolorów i rozmaitością odmian, które sztuka ogrodnicza z pospolitej georginji, przeobraziła w arystokratyczną dalję. Jaki imponujący widok przedstawia aleja w ogródku, obsadzona temi dumnie sterczącemi gwiazdami północy, o najrozmaitszych deseniach i barwie.

Aby jednak otrzymać dodatnie rezultaty, należy wiedzieć jakie odmiany dobrać, gdyż nie wszystkie „nowości" polecane w katalogach ogrodniczych, są godne zastosowania. A jak je sadzić, hodować i p r z e c h o w y w a ć, uczy wspomniana k s i ą ż k a, pierwsza w tym zakresie z dziedziny kwiaciarstwa.

ZE SZTUKI

Polski Michał Anioł.

Skala talentu Józefa Mehoffera nie obejmuje zapewne wszystkich rodzajów techniki, jak to bło właściwością genjusza odrodzenia, architekty, rzeźbiarza, malarza i poety w jednej osobie. Niemniej jednak potęga koncepcji i znakomitość rzemiosła pozwalają spojrzeć na twórczość Mehoffera, jako na dzieło podobnej miary. Tkwi w niem zresztą prawdziwie renesansowa bujność, fantazja i rozmach, a niewątpliwie więcej zawiera ono pierwiastków kościelnego ducha niż to było u genjalnego spadkobiercy rzymskiego klasycyzmu.

Jest wreszcie jeden jeszcze czysto incydentalny rys, który szczególnie nasuwa do zestawień postać twórcy Sądu Ostatecznego. Jest nim nieszczęsna dola artysty, pozbawionego możności realizacji swych największych koncepcyj, noszącego w piersiach i w projektach gigantyczne pomysły bez widoków ich urzeczywistnienia.

Smutnym udziałem Mehoffera stała się całkowita prawie niemożność zrealizowania jakiegokolwiek dzieła u nas w kraju, podobnie jak to było z Michałem Aniołem, który ledwie cząstkę swych dzieł mógł zrealizować i to w skali znacznie zmniejszonej, podobnie jak to jest ze Stachem z Warty Szukalskim, aż za oceanem szukającym swobodnego pola.

Ci artyści znajdują zresztą o wiele łatwiej zrozumienie dla swych aspiracyj u obcych, niż u swoich. I obcy mają więcej odwagi i permanentnej woli doprowadzenia do końca realizacji ich wspaniałych, olbrzymich i śmiałych pomysłów.

Najlepszą tego ilustracją są dzieje witrażów fryburskich, tego magnum opus Mehoffera. Z namowy architekta T. Stryjeńskiego młody i nikomu nieznany artysta bierze udział w międzynarowym konkursie na witraże do katedry we Fryburgu szwajc. Spośród kilkudziesięciu prac nadesłanych na konkurs wybór jury pada na projekt młodego, nieznanego malarza Józefa Mehoffera. Już w roku następnym 1895 zostaje wykonany pierwszy witraż, budząc powszechny zachwyt. I tak prawie co roku. W ten sposób Mehoffer wykonał dwadzieścia jeden okien, z czego 12 bliźnich po 7 metrów wysokości, a pięć z prezbiterjum po 12 metrów. Lecz najznamienniejszą rzeczą dla sprawy witrażów fryburskich jest dopiero następujący incydent.

Oto w prasie szwajcarskiej w pewnej chwili podniósł się wrzask przeciw Mehofferowi: „cóż to — pisano — niemamy własnych artystów. Owszem Mehoffer jest znakomity, to co zrobił ma wartość, ale przecież i nasi coś potrafią".

Pod naciskiem tak ogłupionej opinji przerwano pracę Mehoffera. Wziął się do roboty Szwajcar, Balmer. Wstawił jedno okno. Lecz kiedy przyszło je obejrzeć, zamiast podziwu, wywołało niesmak. Od





Dwa witraże Mehoffera w katedrze fryburskiej



Józef Mehoffer

świetnych, tęczowych okien Mehoffera rażąco odbijały swą pospolitością.

Teraz następuje najkapitalniejszy zwrot. Bezwartościowe okna zdecydowano wyłamać, artystę przeproszono i poproszono, by dalej wziął się do pracy.

A niefortunne okno Balmera po wojnie przeniesiono do innego kościoła, a Mehoffer dokończył swego wiekopomnego dzieła w katedrze.

Inaczej natomiast układały się losy jego działalności artystycznej w Polsce. Wykonał coprawda osiem witraży do katedry wawelskiej, ale musiał przerwać pracę przy dekoracji skarbca. Miała tam się znaleźć na dziesięć metrów wysoka kompozycja, przedstawiająca rycerstwo polskie śpiewające Bogurodzica. Kardynał Puzyna wobec skarg duchowieństwa na niewygodę, przerwał pracę i tak się skończyło na niczem. Również drobnej wagi okoliczności udaremniły polichromję katedry w Płocku. Niewłaściwemi uwagami o witrażach fryburskich zrażono artystę. Nie lepiej było z katedrą ormiańską we Lwowie. Gdy część pracy w mozaice wykonał Mehoffer, resztę powierzono innemu, gotowemu zrobić to „za bezcen". Nie miał też Mehoffer powodzenia z malowaniem kaplicy na Kahlenbergu, której ozdobienie ostatecznie powierzono komu innemu. Jedynym bodaj wyjątkiem od tego braku uznania dla wielkiego talentu była sprawa polichromji kościoła w Turku (koło Kalisza). Światły tamtejszy proboszcz doprowadził do tego, że wszystkie wsie opodatkowały się od morga i w ten sposób w ciągu kilku lat dzieło doprowadzono do końca.

Skąd się bierze sztuka Mehoffera. Niewątpliwie znajduje się ona pod natchnieniem monumentalnego malarstwa Matejki, którego uczniem jest Mehoffer. Malował on wraz z Wyspiańskim pod kierunkiem Matejki polichromję kościoła Marjackiego. Wówczas to miał możność pogłębienia koncepcji dekoracyjnych wielkiego polskiego artysty.

W witrażach i polichromjach Mehoffera dominuje też ta sama koncepcja twórcza: mocna kompozycja figuralna w połączeniu z mięsistym ornamentem roślinnym.

Na witrażach Mehoffera można studjować, mimo widocznej stylizacji, osobliwości flory, podobnie jak charakter polskiej architektury i polskiego portretu historycznego.

W różnych motywach i partjach witrażowych rozpoznajemy znajome fragmenty architektury Krakowa i fizjognomje polskiego aeropagu wielkich czy świątobliwych mężów i niewiast; obok tego nawet w czysto fantastycznych obrazach, jak śmierć i Herod widzimy wpływy polskiego folkloru „polskiej szopki".

Stąd można wnosić jak głęboko artysta przeniknięty jest polskością, skoro, pracując dla obcych, nie unika czerpania ze źródeł polskich.

Najważniejsze jednak dla oceny wielkości Mehoffera jest pierwsze wrażenie wstrząsu, jaki się doznaje wobec ogromu i bogactwa jego kompozycji witrażowych. Zachwyca w nich wszystko: dynamika kompozycji i figur, intensywność a przecież zdrowy umiar kolorystyki, bujność ornamentyki. Przemawia z tych dzieł nieokiełzana fantazja i natchniona poezja, przykuwa i onieśmiela rozmach i potęga, zachwyca poezja, zniewala urok wiecznego piękna.

W twórczości Mehoffera dominuje z natury rzeczy pierwiastek religijno-kościelny. Obok wpływów klasycznych wyodrębnia się jednak własna zupełnie koncepcja zjawisk, związanych z osobą Chrystusa. Mehoffer jest bodaj jedynym u nas artystą, który śmiało podkreśla semickość środowiska ewangelizacyjnego, nie cofając się przed takiem ujęciem postaci samego Chrystusa. I w tem właśnie ja widzę wielkość szczególną indywidualności artystycznej Mehoffera.

Z POLITYKI

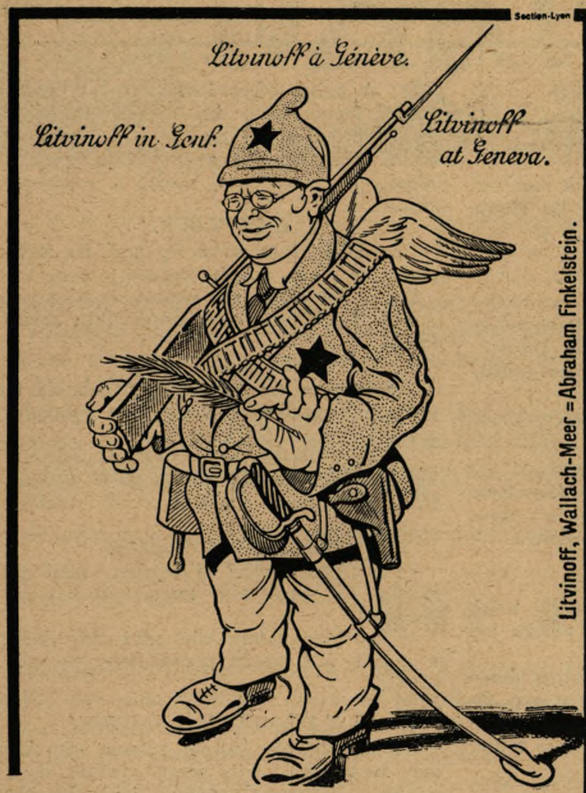
Sowiety nawołują do pokoju.

Wszyscy naiwni pacyfiści niewątpliwie ze wzruszeniem czytali streszczenie mowy Litwinowa, wymierzonej we Włochy. Ile w tej mowie było akcentów humanitarnych, którychby się nie powstydził ani sam Wilson, ani żyjący jeszcze Mac Donald! Sowiecki komisarz przemawiał w takim tonie, jakby to nie on był przedstawicielem państwa, które jakieś piętnaście lat temu marzyło, ba szło z bagnetem w ręku na podbicie Polski i z pół Europy na dokładkę, a nie tam jakiejś egzotycznej Abisynji.

No, ale trudno chyba wypominać Sowietom ich wojenną przeszłość, skoro dziś tak



Dzieło Mehoffera



Litwinow w Genewie

pięknie deklamują o pokoju. Trzeba jednak przywołać cienie tej przeszłości wobec wyraźnych objawów nieprzerwanego istnienia starych tendencyj. Razporaz dają one o sobie znać w sposób przytem wypróbowany oddawna przez działalność t. zw. trzeciej międzynarodówki. Razporaz tu i ówdzie wybuchają jakieś rozruchy, których autorstwo ostatecznie należy do międzynarodówki. Tak było z ostatniemi rozruchami w Breście i Tulonie. No, ale wywołanie rozruchów to jeszcze nie da się kwalifikować jako otwarta wojna. Inna rzecz, że w niejednym wypadku może z tego wyniknąć zawierucha wojenna. I to jest właściwie celem Sowietów, które głośno nawołują do pokoju, a po cichu robią wojnę.

Wojna na włosku.

Wydaje się, że wojna włosko-abisyńska wisi na Włosku. A włosek jest cienki i kto wie, czy w chwili dojścia do rąk czytelników tego numeru nie urwie się. A wtedy spadnie miecz Damoklesa na głowy nietylko tych, nad którymi wisiał, ale i innych, stojących w pobliżu.

Bo z wojną jest jak z lawiną, zaczyna się od kamyka, a kończy na trzęsieniu gór.

Sytuacja jest taka, że raport pięciu, który miał przynieść rozwiązanie sprawy, nie zadowolił Mussoliniego. Uważa on go poprostu za obelgę dla Włoch. Oczywista rzecz, że robią się wysiłki, by przeszkodzić wojnie, robi je specjalnie Anglja, oczywiście nie specjalnie z pacyfistycznych pobudek, ale z uwagi na swój interes. To jej kazało zamknąć drutem Gibraltar, żeby przerwać komunikację tam, gdzie jej właściwie niema, ale jeszcze nie zamknęła Suezu, którego kanał przynosi grube zyski za włoskie transporty wojska i broni. Tymczasem nierozgarnięci pacyfiści poczytują stanowisko Anglji nawet za wzór humanitaryzmu. Anglja w obronie pokrzywdzonego, jakie to piękne! Poprostu cudne. Czyż to nie ładne, pomyślcie tylko: Anglja, mobilizująca swą flotę i gromadząca ją koło Malty, by bliżej jej było pośpieszyć do zagrożonej Etjopji, a dalej konsygnująca wojska w okolicach błękitnego Nilu, budująca schrony na Malcie. Ileż to musi kosztować takie przygotowanie do zbrojnej interwencji. Ale czego nie robi szlachetny człowiek w imię obrony prawa i porządku w świecie. Cóż tu znaczą koszta?

Aż tu nagle pęka jak bomba wiadomość o dojściu do skutku układu handlowego w sprawie eksploatacji nafty abisyńskiej, plus inne półszlachetne kruszce i drogie kamienie na przestrzeni ¾ terytorjum abisyńskiego, na okres 75 lat. Oto do czego zmierzała Anglja. Cesarz Abisynji zresztą też wiele nie traci. 3 miljony funtów rocznie za odstąpienie prawa eksploatacji — to nie drobnostka. Oto jak się porozumiały dwa lwy: brytyjski i judejski i jak lew brytyjski w owczej skórze międzynarodowego obrońcy uciśnionych zdarł skórę ze lwa judejskiego. Oto jak się opłaciło Anglji zwrócić w swoim czasie zdobytą na Abisyńczykach koronę cesarzy etjopskich. Nic dziwnego, że tego rodzaju posunięcie wywołało powszechną konsternację w Genewie, gdzie akurat czyniono przygotowania do sesji Ligi Narodów.

Trzeźwość i realizm polityki angielskiej uderzyły pałką w łeb rozparzonych idealistów nadlemańskich. W tych warunkach zaczynamy rozumieć różne grzeczności abisyńsko-angielskie, jak np. odznaczenie wysokim orderem abisyńskim króla W. Brytanji. Zaczyna się od orderów, a kończy na traktatach eksploatacyjnych. Oto jak wielcy tego świata załatwiają swoje interesy! Cała afera spotkać się oczywiście musiała z najrozmaitszemi komentarzami, zwłaszcza, że znane było dotąd nieprzejednanie odmowne stanowisko cesarza Hailie Selasie w sprawie koncesyj zagranicznych. Korenspondent „Stampy" pisze: Czy jest rzeczą możliwą, by cesarz Abisynji udzielił tak wielkiej koncesji naftowej trustowi amerykańskiemu, wiedząc, że wobec rywalizacji nafty amerykańskiej z angielską koncesja ta będzie uważana za policzek w Londynie? Czy istotnie chytry cesarz popełnił tak ciężki błąd w chwili, gdy tak zależy mu na W. Brytanji? Fakt, że towarzystwo angielsko-amerykańskie Ricketta zarejestrowane jest w Delavare w Stanach Zjednoczonych, nie ma żadnego znaczenia. Również towarzystwo „szwajcarskie" z siedzibą z Zurychu, które otrzymało koncesje drogowe, — opodatkowane jest w 100 proc. przez kapitał angielski.

Kłajpedzkie niepokoje.

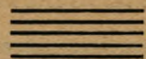
Kłajpeda — oto temat niepokojący, obok Abisynji, Ligę Narodów. Zbliżają się mianowicie w Kłajpedzie wybory, które Hitler uważa za jeden wielki akt gwałtu. I dlatego rząd Rzeszy domaga się od Kowna zabezpieczenia praw mniejszości niemieckiej. Jest to paradoks — zdaniem Führera — by 65 miljonowy naród musiał patrzeć bezczynnie na naruszanie swych praw przez niewielki paromiljonowy naród.



Książę murzyński Minolulu, przyjaciel Etjopji, przemawia na wiecu w Londynie



HUMOR I SATYRA



A PIOSENKE

Czy kto słyszał, czy kto widział,
By miał żyd w konnicy przydział?
Aj!
Do ułanów Icka wzięli,
Brodę, pejsy mu ucięli.
Waj!



Dano czapkę mu rogate,
Nie pozna go mame z tate. —
Aj!
Dał mu wachmistrz szablę, pykę,
Na kobyle wsadził dżykę.
Waj!
„Panie wachmistrz", Icek pita,
„Czy ta szabla nie nabita".
„Nie!
„Jeszcze zdarzy się wypadek
„Una szczelni prosto w.. plecy.
„Mnie"!
„Taki koń antysemita,
„Wierzgnie z ogon i z kopyta
„I wyrzucić mnie gotowy
„Na rozbity pisk do rowy.
„Ani kiwniesz palcem w bucie,
„Gdy się znajdziesz na kirkucie.
„Zagra trąbke ci „tra-ta te"
„I zapłacze mame z tate
„Aj waj mir"!
Zawsze lepiej, póki pora,
Wykręczać się od pobora!

JAN MARCIŃCZYK.

W SZKOLE.

Czego się martwisz?

— Napisałem wyraz „profesor" przez dwa „f" i teraz nie wiem, które „f" wykreślić.

DELIKATNE ZAPYTANIE.

— Przepraszam, czy pan nie nazywa się Kopertkiewicz?

— Nie, mój panie, a dlaczego?

— Bo ja, proszę pana, znałem jednego idjotę, to się właśnie nazywał Kopertkiewicz.

NASZE SŁUGI.

— Cóż to! kazałam ci kupić zająca, a tyś przyniosła prosiaka?

— A, bo mój narzeczony, proszę łaski pani, woli prosiaka, a na zająca patrzeć nie może.

SUMIENNA PIELĘGNIARKA.

— Panie, panie, niechno się pan obudzi, bo teraz właśnie jest czas, aby pan zażył lekarstwo na sen.

PO PIĘTNASTU LATACH.

Żona: Już 15 lat jesteśmy żonaci, a nigdy mi nie powiedziałeś, żeś dawniej zażywał tabakę.

Mąż: Ależ, moja najmilsza, jak mogłem ci to powiedzieć, kiedym nigdy do słowa nie przyszedł.

ALE MĄDRY.

Ojciec chce się pochwalić przed sąsiadami roztropnością syna, który chodzi do szkoły.

— Jasiu, powiedz, ile godzin ma dzień?

— Dwadzieścia sześć — odpowiada.

— Głupstwa pleciesz.

— Tak. Przecież dziś nam mówił nauczyciel, że dnia przybyło o dwie godziny.

DLACZEGO?

Mamusiu... Dlaczego tatuś nie ma ani jednego włoska na głowie?

— Bo tatuś jest mądry, dużo myśli, dużo pracuje głową, to mu włoski powypadały.

— Tak.. A dlaczego mamusia ma takie gęste włosy?

ZABAWA.

— Jasiu, dlaczego nie bawisz się z Jadzią?

— Bawię się, proszę cioci.

— Jakto bawisz się, kiedy siedzisz tu sam przy stole?

— No, bo, ciociu, my się bawimy w małżeństwo. Ja siadłem przy stole i zawołałem: A cóż to dzisiaj za wstrętne żarcie? A Jadzia odpowiedziała: Jak chcesz czegoś lepszego, to daj więcej pieniędzy! A ja powiedziałem: Stul pysk! A ona zaczęła krzyczeć. A ja wstałem i wyszedłem... A teraz tutaj siedzę i wściekam się...

CIERPLIWY.

On: Moja żona uczy się grać na fortepianie, a córka na skrzypcach.

Przyjaciel: A ty nie uczysz się niczego?

On: O tak, uczę się cierpieć bez narzekania.

POSŁUSZNY MĄŻ.

Sędzia pyta się włamywacza, jak się to stało, że ukradł tylko klejnoty, a pieniądze zostawił?

— Rany Boskie — odpowiada oskarżony — i pan zaczyna także, panie sędzio! Przecież mi żona ciągle o to robi piekło!

DELIKATNY ODKOSZ.

— Jak pani myśli? Czy ojciec pani nie miałby nic przeciwko temu, żebyśmy się pobrali?

— Prawdopodobnie nic, gdyż mój ojciec z zasady jest wręcz przeciwnego ze mną zdania.

U NAUCZYCIELA ŚPIEWU.

Do nauczyciela śpiewu zgłasza się okazały mężczyzna. Dwa metry wzdłuż, metr wszerz. Nauczyciel próbuje jaki głos ma kandydat. Chłopisko drze się na całe gardło, ale jakoś nie idzie. Wreszcie nauczyciel pyta z przekąsem:

— Pańskiem zdaniem, jaki pan głos posiada?

— Baryton — odpowiada z dumą.

Na to nauczyciel, kiwając głową:

— No „bary" to pan ma, ale z „tonem" jest trochę gorzej.



Darwin i jego zwolennicy twierdzą uparcie, że człowiek pochodzi od małpy. Chociaż teorja Darwina naukowo jest już dziś zupełnie obalona, chociaż grono zwolenników tej teorji jest dziś bardzo nieliczne, to jednak i dziś jeszcze są ludzie, którzy bezpodstawnie i uparcie chcą rodowód swój wywieść z małpiego rodu. Dla tych więc zamieszczamy powyżej obrazek przedstawiający ich rzekomych przodków, posilających się przy stole. Czy chcecie się przyznać do takich praojców?

Dział Kobiecy

DLA DUSZY.

Człowiek wzbija się nad rzeczy ziemskie dwoma skrzydłami, to jest prostotą i czystością.

Prostota powinna być w chęci a czystość w uczuciu. Prostota dąży do Boga, czystość go dosięga, obejmuje i w Nim się rozpływa.

Żaden dobry uczynek trudnym ci nie będzie, jeśli wewnątrz wolny będziesz od nieporządnej skłonności. Jeśli niczego innego nie pragniesz i nie szukasz, jeno woli Bożej i pożytku bliźniego; wtedy wewnętrznej swobody zupełnie używać będziesz.

Gdybyś miał serce proste, wtedy wszelkie stworzenie byłoby ci zwierciadłem życia i ksiąg mądrości świętej.

Niemasz stworzenia tak małego i lichego, któreby ci nie stawiło przed oczy dobroci Boga.

Tomasz à Kempis.

O naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

MÓJ ODPOCZYNEK

Zawsze serdecznie proszę nasze Szanowne Czytelniczki, aby nam łaskawie napisać zechciały, jak spędziły dni, przeznaczone na wypoczynek. I zawsze prawie głos mój, jest głosem wołającego na puszczy. Niedociekając jakie są przyczyny tej oporności, sobie tylko robię zato wyrzuty, bo niezawodnie nie umiałam zdobyć zaufania, o które jednak nieprzestanę się starać, co stwierdzam w tej chwili — zdając sprawę z czterech tygodni, wśród których miałam nabrać zdrowia i sił do całorocznej pracy.

Dopiero 7 września, bo wcześniej wyjechać nie mogłam, moja serdeczna młoda przyjaciółka, p. Helena Kryńska przyjęła mnie we własnym domu, we wsi Strzałkowie. Pałacyk piękny i wewnątrz wygodny, tonący w różach, otoczony parkiem, wśród którego stare płaczące wierzby maczają sploty swych gałęzi w wodach dwu stawów cicho stojących. Szpalery z grabów, które, niby łuki świątyń, konarami splecione dają cień w dni gorące poto, aby tem piękniej cieszyła oko — po wyjściu ze szpaleru jasna słoneczna polana, na której tu i owdzie rozrzucone solitery, wygodnie rozwijają swe mnogie gałęzie przyrostu. Widok na szerokie przestrzenie pola, ziemię i niebo, które na zachodzie mieni się wszystkiemi barwami tęczy. Wtedy z poza wzgórza ostatniem spojrzeniem, złocista tarcza słońca obejmuje ziemię i ze spaceru wraca się do dworu, gdzie czeka nietylko kolacja, ale serdeczne towarzystwo i gościnność a czasem i młody Dziedzic, magister praw, z pobliskiego garnizonu, w którym odsługuje powinność wojskową — za przepustką, zjawia się wśród nas, nietylko przez Szanowną Matkę witany radośnie, ale przez wszystkich, a bywa nas dużo, — bo raduje serce i sobą i polskim mundurem, towarzyszącą mu werwą i humorem, dopełniając całości prawdziwie wtedy polskiego Dworu. Wojsko, niestety, całemu światu jeszcze potrzebne, mimo to, że dusza otrzasa się na okrucieństwo wojny. Ale skoro to być musi, niechże zna sztukę wojowania, od której, wprowadzenia w czyn, strzeż go, Panie!

Przed oknem mego pokoju, stara, z królewską powagą rozłożona na zielonym dywanie, lipa, setki lat licząca, a tuż za nią Kościołek-staruszek starannie utrzymany, w którym grób rodzinny Zmarłych i ciche pacierze niestygnącej wiary w ich wysłuchanie — co dnia.

Zabudowania gospodarskie schludne. O wszystkiem tu pomyślano. Wszystko ma swe wygodne przeznaczenie i pomieszczenie. A za dworskiem obejściem — oddzielone drogą: *Czworaki.*

Dobrą i rozumną trzeba być dziedziczką, żeby taką opieką objąć tę właśnie część całości dworu. Budynki murowane, dachówką kryte. Schodki i sienie cementowe. Każdy domek — to dwie rodziny. Między niemi rzędem komórki gospodarcze, naliczyłam ich, zdaje się, ośm. A dla nierogacizny z czerwonej cegły, z oknami, nowy śliczny pałac! Cementowe przegrody mieszczą doskonale utrzymane eksponaty. Góra przeznaczona dla drobiu.

To mi przypomniało imponujący mi zmysł kurzy, jaki obserwowałam, na moich pieszych spacerach, kiedyś, w Belgji. Gdybym się mogła kierować moim upodobaniem, to naogół nieużywałabym żadnej innej lokomocji nad pieszą. Co własnemi zmierzę nogami, to już wydaje mi się dopiero dobrze poznane, dopiero sobie przyswojone. A że na obczyźnie, zwłaszcza w takim kraju, jak śliczna i kulturalna Belgja, jest co widzieć, naco patrzeć i czego się uczyć, więc, po zwiedzaniach muzeów bogatych i wspaniałych świątyń, co dnia wymykałam się poprostu — na wieś. I tam właśnie zobaczyłam przy domkach, z boku, waziutkie schodeczki żelazne. Dla kogo? myślałam. Dziecko nawet nie wejdzie... Aż tu — raz, pod zachód, widzę jak się kurki gromadzą i pokolei idą na schodki. Przed wejściem w drzwiczki otwarte na górze, oglądając się, jakby żegnały słońce i... myk, do swej kryjówki.

— Wyobraź sobie, mówię do Męża po powrocie do hotelu, toż tu kury nawet tak wychowane, że same na noc idą do swych apartamentów, żegnając słońce. A w sercu miałam cichą zazdrość, że u nas do tego daleko.

Minęły lata. Wprawdzie zamało mamy dobrego drobiu w handlu. Jeszcze ciągle kurczęta chude, pulardy bardzo pięknośći niewystarczającej, ale marzenie moje o schodkach, po których idą mądre kury spać w pokojach, dla siebie przygotowanych, ziściło się w Strzałkowie właśnie — w zupełności.

Ale ponad wszystkiem, ponad pnączami nawet, które zasadzone dziś, kiedyś zielenią otulą całe domostwa, a sztachetki, dzielące od drogi, uczynią zielonym murem, u stóp którego dyskretnie schowane będą dreny ściekowe, ponad tem wszystkiem góruje obszerna, szerokość domu zajmująca, z dużemi oknami w dwu prze-

ciwległych sobie ścianach, z podwyższeniem dla prelegentów lub dla przedstawień teatralnych *„Świetlica"*. Pod ścianami ławki. Nad niemi: Matka Boska i Krzyż. A pod niemi podobizny: Prezydenta, Marszałka, Kościuszki, Sienkiewicza, Paderewskiego, Hallera...

Z mieszkańcami tych domków nie mogłam się zżyć, bo tym razem krótko korzystałam z gościnności Dworu, ale zdążyłam od statecznej gospodyni, z którą rozmawiałam, usłyszeć: „nasza Dziedziczka lubi porządek, dobra pani"... Sądzę, że poza wysokim szacunkiem, jaki budzi w każdym Dziedziczka, która „lubi porządek", w najszerszem tego słowa znaczeniu, trzeba Jej życzyć, aby to wszystko było tak utrzymane jak tego pragnie, aby te „kursy gospodarstwa domowego", które organizuje, jaknajlepsze wydały rezultaty, a służbie folwarcznej, współpracownikom na roli, winszować takiej zacnej Pani.

A ja, w tym raju — miałam być miesiąc. Tymczasem los inaczej pokierował mojemi planami.

Po dziesięciu dniach pobytu na wsi — jako delegatka Ligi Morskiej i Kolonjalnej, jechałam do Szwajcarji, do Morges, i Riond-Bosson, siedziby Mistrza tonów światowej sławy i najlepszego Syna Ojczyzny, Ignacego Paderewskiego, którego podobiznę, wraz z opisem przyjęcia, jakiego doznałam, damy w następującym miesiącu. *L. Kotarbińska.*

MACIERZ POLSKA ZWRACA PROŚBĘ:

o szkolne książki już zużyte do wszystkich tych, którzy, mając dzieci w szkołach, wiedzą ile te książki kosztują, a wiedzą także ile jest rodziców, którzy nie są w stanie ich nabyć.

Szkół, naogół, mamy zamało. 700.000 dzieci w całym kraju zostają bez możności pobierania nauki w szkole. Warszawa najmniejszy liczy odsetek dzieci nie mogących się normalnie uczyć. Ale Warszawa dlatego właśnie ma obowiązek pomagać prowincji i kresom, co bez wielkiego wysiłku uczynić może.

Książki z ubiegłego roku są w domu zbędne. Sprzedane w antykwarni, dają grosze. Wybrane i odesłane do Polskiej Macierzy Szkolnej, z przeznaczeniem ich dla szkół prowincjonalnych, oddadzą wielką usługę rodzicom polskim i ucieszą dzieciaków.

Radość zaś będzie podwójna, jeśli wraz z książkami znajdą i pomoce naukowe, zbędne już dla uczniów wyższych klas. Jeśli wraz z mapami, obrazkami, bryłami geometrycznemi, pokażą się i zabawki takie jak: samochody, kolejki, samoloty, okręty, łódki, kajaki, których często dzieci na wsi dotąd nie widziały — to uciecha będzie bez miary.

Powołując się na to wezwanie, które powtarzamy za „Kurjerem Warszawskim", prosimy nasze Szanowne Czytelniczki „Rodziny Polskiej", aby zechciały — tym wielu setkom i tysiącom rodzin naszych przyjść z doraźną pomocą, składaniem książek, pomocy naukowych i zabawek do Polskiej Macierzy Szkolnej, Krakowskie Przedmieście 7.

Dwa razy daje, kto prędko daje, więc od ręki niech się utworzy paczka, którą same dzieci zaniosą do Szanownej Instytucji i dowiedzą się jednocześnie, że nawet tak wielkim sprawom, jak nabywanie wiedzy, pomagać mogą tak drobne ofiary, jak oto — złożenie zużytych już książek i zabawek dla tych, którzy ich kupować nie są w możności. *M.*

DOM DLA SAMOTNYCH KOBIET

Stowarzyszenie im. świąt. Wandy Malczewskiej, zawiązane w celu niesienia pomocy kobietom samotnym, inteligentnym, jednego ducha — pracującym — miało sposobność przez czas pracy swojej kilkoletniej przekonać się jak wielkiego znaczenia i doniosłości jest stworzenie „Domu", którego celem jest skupienie pod jednym dachem samotnych niewiast i wytworzenie dla nich atmosfery domu rodzinnego pod względem serdecznej, siostrzanej miłości, jedności w imię wspólnie umiłowanych ideałów.

Narazie mamy mieszkanie, w niem pokoje osobne i wspólne — z jadalnią wspólną; w przyszłości, jeżeli warunki pozwolą — dom własny.

Dalej projektuje się założenie hoteliku, z którego mogłyby korzystać osoby przyjezdne tego samego ducha — i czytelnię pism i książek.

Stowarzyszenie narazie rozporządza niewielkiemi funduszami, zebranemi ze składek miesięcznych członkiń, oraz ofiar osób odczuwających doniosłość istnienia takiej instytucji — Domu, który będzie ostoją dla wielu pozbawionych ogniska domowego jednostek.

Fundusz to jednak niewystarczający dla zrealizowania dalszych naszych zamierzeń jak: warsztaty pracy, — biuro pośrednictwa pracy dla członkiń i t. p.

Zwracamy się zatem do osób dobrej woli, ażeby zechciały ofiarnością swą lub pracą poprzeć nasz cel, przyczyniając się do osłodzenia doli i umiejętnego spożytkowania dla dobra Ojczyzny tych sił kobiecych, które ofiarnie oddają siebie społeczeństwu oraz dla wytworzenia zamiłowania pracy ideowej.

Adres Sekretarjatu: Marszałkowska 72 m. 8, telefon 9.51.68 (o 11-tej przed poł. lub 3 popołud.) codzień o 6-tej, prócz niedziel.

POMÓWMY O DZIECIACH...

Odrabianie lekcji. Ciężka praca i dla matki i dziecka. Nie mówię tu o dzieciach specjalnie niezdolnych czy leniwych, które bez korepetytora uczyć się nie mogą, ale o dziecku normalnie uzdolnionem, uczącem się bez obcej pomocy. Pora wypoczynku poobiedniego minęła, Staś zabiera się do lekcji. Patrzy na zegar, szuka zeszytu, próbuje stalówki, tylko na chwileczkę podchodzi do okna, bo ktoś coś woła, w rezultacie najmniej kwadrans czasu przeznaczonego do nauki stracony.

Są dzieci, które nie lubią, by im ktoś asystował przy odrabianiu lekcji, ale przeważnie proszą, by matka, względnie wychowawczyni, siedziała przy nich, choćby zajęta czemś innem, ale sama obecność takiej osoby, która wszystko wie, dodaje otuchy małemu delikwentowi, nie należy więc odmawiać tego dziecku, można przecież zawsze przez ten czas znaleźć jakąś robotę (cerowanie lub t. p.), pozwalające być w pobliżu. Sprytne te osóbki wyzyskują nieraz roztargnienie matki, zajętej swą robotą. — Mamusiu — ile jest 5 × 6? powiedz prędko! — pyta Józio. 30, odpowiada matka machinalnie i dopiero potem zapytuje o co chodziło i zaczyna się wykład o myśleniu i t. p., ale Józia to nie wzrusza, zdobył bez wysiłku potrzebną wiadomość. To znów Irenka siedzi nad zadaniem i myśli... o wszystkiem innem, tylko nie o tem, co ma pisać, a widząc, że czas uchodzi, zgnębionym głosem oznajmia babci, że ona tego nic a nic nie rozumie. Babcia zaczyna więc objaśniać dokładnie, jasno, ale Irenka słucha jednem uchem i twierdzi w dalszym ciągu, że nic nie rozumie. Dlaczego? Bo wie z doświadczenia, że babcia, zniecierpliwiona jej niemożnością zrozumienia, sama zadanie odrobi i podyktuje, nie zdając sobie sprawy, że Irenka od początku do tego prowadziła. Czasem zadano dużo, robi się późno, i wtedy cały dom, łącznie z uczniem, odrabia lekcje. Zadania odrobione, wiersz wkuty w gło-

wę, ale jaki z tego pożytek? Czyż z czystem sumieniem może dzieciak przedstawić nauczycielowi zadanie, jako swoją robotę?

Ryś i Tereska odrabiają codzień lekcje pod okiem matki, ale odrabiają **sami**, czasem w zawiłych kwestjach zwracają się do matki, ta przedewszystkiem każe im samym pomyśleć, bo dzieciom często się myśleć nie chce, i zdarza się to często, zwłaszcza dziewczynkom, że zalewają się łzami, twierdząc, że nic nie rozumieją, a gdy zmusi się je do chwili zastanowienia, śmieją się same z siebie, że takiego głupstwa rozwiązać nie mogły. Czasem musi matka wytłumaczyć coś, objaśnić, ale w taki sposób, by dziecko naprowadzić pomału na myśl właściwą, by ono **samo** doszło do sedna sprawy. Wtedy pożytek jest oczywisty. Dziecko myśli, uczy się zastanawiać, kierowane umiejętnie — ocenia pomoc matki, ale jej nigdy nie wyzyskuje, bo wie, że w sposób ten nic wskórać nie będzie mogło. Pomagajmy więc dzieciom naszym w nauce, ale nie odrabiajmy za nich lekcyj, nie wyręczajmy ich w myśleniu, bo przecież w ten sposób uczymy ich bezmyślności, posługiwania się drugimi i podszywania się pod cudze zasługi.

Ewa.

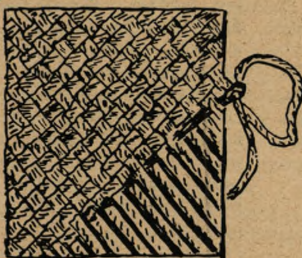
TECHNIKA CEROWANIA

Przez wiele miesięcy omawiałyśmy w Rodzinie Polskiej hafty ludowe, koronki i rozmaite artystyczne robótki na samodziałach i innych tkaninach. Przypuszczamy, że Czytelniczki nasze wiele skorzystały z wzorów, lecz piękne robótki mogły się już zniszczyć.

Po starannem przeglądnięciu, musimy uszkodzone miejsca umocnić i pocerować starannie.

Technika cerowania nie jest łatwa, poznajmy więc na czem polega.

Jest to właściwie wrobienie w materjał zniszczonej tkaniny. Płótno lniane i bawełniane cerujemy przędzą stosowną grubości w ten sposób, że przeciągamy nić najpierw pionowo, a następnie poziomo, przeplatając poprzednie nici nakształt kratki. Sposób ten uwidoczniony jest na rysunku Nr. 1.



Musimy jednak bacznie uważać, by cerowanie kładzione było prosto, na linji prostej nitki w tkaninie, gdyż skośna cera ciągnęłaby i w dalszym ciągu niszczyłaby tkaninę.

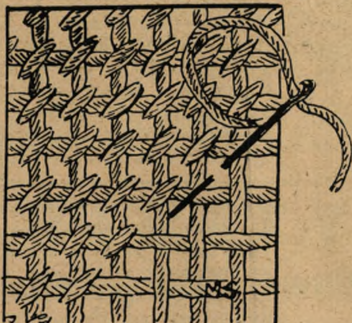
W ten sam sposób cerujemy również pończochy, kładąc cerę na linjach oczek zupełnie prostopadle.

W trykotach, które zwykle ciągną się, musimy naddać nić prostopadłą w ten sposób, że, wprowadzając w cerę nowy pion nici, nie dociągamy jej zupełnie, co stworzy maleńką pętlę, która przy rozciąganiu trykotu, wsunie się pomiędzy oczka w miarę potrzeby i nie ściągnie cerowania.

Skolei przechodzimy do cerowania tkanin wełnianych, przy których również zwracamy uwagę na kierunek przędzy. Kamgarny i lodeny mają rodzaj tkania odrębny, osnowa pionowa, a wątek przerzucany co dwie nitki następne tworzą wrażenie ukosu.

Jeżeli można, używajmy do cerowania tych materjałów wysnówek, które nie różnią się ani barwą, ani gatunkiem.

Przy cerowaniu adamaszkowych obrusów i serwet wskazana jest technika potrójna rys. Nr. 2, która wywoła wrażenie adamaszku.



Do tego celu nadaje się najlepiej przędza dzielona z pięknym połyskiem, firmy D. M .C.

Wszelkie kolorowe jedwabie cerujemy cienką nicią tej samej firmy, zwaną „Moulinée", i dzielimy ją na pojedyńcze nitki, stosownie do grubości przędzy w materjale.

Na rysunkach podane są bardzo grube nici i duże ściegi dla łatwiejszej orjentacji w prowadzeniu cery, lecz im gęściej i ściślej ją wykonywamy, tem będzie trwalsza.

Jeszcze jedna rada praktyczna, a zarazem estetyczna. Otóż najstaranniej wygląda cera umieszczona w kwadracie, lub prostokącie, a nigdy nie róbmy jej w kole lub nierównych linjach obwodu, gdyż to robi niemiłe wrażenie i jest niedbałe.

Marja Stefkowa.

LEKKI JESIENNY PŁASZCZYK DLA PANI I DZIECKA

Płaszczyk dla pani wykonany z miękkiego, wełnianego kreponu, a podbity jedwabną podszewką. Kołnierz plisowany stanowi eleganckie wykończenie płaszcza, rękawy mają ostry występ na łokciu. Płaszcz zapięty na jeden ozdobny guzik w kolorze materjału. Jasno granatowy kolor nadaje się bardzo do tego rodzaju płaszcza. Można do niego nosić szeroki krawat wiązany na kokardę lub apaszkę.



Dla dziewczynki płaszczyk uszyty z przerabianego materjału, w beżowych odcieniach. Wyłogi u płaszczyka małe, tylko na przodzie. Naokół szyi pas materjału, szerokości 6 cent. spuszczony na boki. Wrazie potrzeby podnosi się pas do góry i okręca koło szyi, wiążąc go jak szalik. Na bokach kieszenie, trochę odstające.

El. Kotwicz-Onichimowska.

CO KAŻDA Z NAS WIEDZIEĆ POWINNA?

Pamiętać należy, że jesień bliska, że czas na przegląd praktyczny zimowej odzieży. Że przy spopularyzowaniu ręcznych robót mnóstwo rzeczy można tanim kosztem mieć w garderobie. Że całe suknie robione na drutach, doskonale ubierają oszczędne kobiety. Że wełna i włóczka są i będą modne dlatego właśnie, że są praktyczne i znakomicie chronią od zimna.

Wiedzieć trzeba, zwłaszcza tym, którzy zza miasta przyjeżdżają do szkół lub zajęć biurowych, że dn. 27 sierpnia r. b. wstrzymany został ruch na kolejce wilanowskiej od stacji na pl. Unji Lubelskiej. Końcowa stacja została przeniesiona do obecnego przystanku tej kolejki przy ul. Belwederskiej. Jest to prowizorjum do czsu skasowania dalszego odcinka kolejki od stacji Belweder do stacji Klarysew. Od tego terminu dojazd do miejscowości letniskowych, położonych na linji Klarysew—Piaseczno, odbywa się przez zbudowany w międzyczasie odcinek, który łączy w Piasecznie kolejkę grójecką z kolejką wilanowską.

Wiedzieć należy, że w najbliższym czasie ma być założony ogólnopolski Związek czcicieli świętych polskich. Związek ten powstaje z inicjatywy kół czcicieli świętych polskich.

W Warszawie istnieją teraz trzy takie Koła: przy Katolickim Związku Polek, przy Bractwie Matki Boskiej Nieustającej Pomocy i przy „Czytelni" na ulicy Wilczej 25. Koło przy Bractwie M. B. N. Pomocy zajmuje się kolportażem odpowiednich broszur i szerzeniem nabożeństwa do świętych polskich. Koło przy ul. Wilczej wydaje pismo p. t. „Cześć Świętych Polskich".

We wszystkich sprawach, dotyczących przyszłego związku, należy się zwracać pod adresem: O. Aleksander Piotrowski C. SS. R., Warszawa, ul. Karolkowa 49.

Wiedzieć trzeba i powtarzać to drugim, że zagubione przedmioty w tramwajach czy autobusach miejskich są, za odpowiednią legitymacją, do odebrania w dyrekcji tramwajów miejskich, ul. Młynarska nr. 2. Rzecz dziwna, jak lekkomyślnie wobec samych siebie postępujemy, nie starając się odzyskać czegoś, co przedstawia dla każdego jakąś wartość. Bo setki i setki gromadzą się w składzie na Młynarskiej: parasolek, rękawiczek, lasek, torebek, ba! nawet portmonetek z pieniędzmi, a które świadczą o naszej wielkiej niefrasobliwości o własną stratę, bo nikt nie kusi się o ich odebranie. Pisząca tę notatkę zgłaszała się tam kiedyś o laskę, została uprzejmie przyjęta. Zgubę znalazła i dziwiła się zasobom magazynu, w którym spokojnie czekają różne przedmioty niezbędnego często użytku, zapomniane przez tych niewdzięcznych, dla których, myślały, że są pożyteczne.

Wiemy wszyscy, że rąk do pracy jest wiele, powinniśmy wiedzieć także, że każdą wiadomość, która się przyczynia, a może być źródłem pracy, należy rozprzestrzeniać, bo komuś może się przydać. Toteż, cieszące się z każdych poczynań, zmierzających do ujęcia w swe ręce jakiejś zbiorowej pracy, notujemy, że w Związku Izb Rzemieślniczych omawiano z przedstawicielami rzemiosła koszykarskiego z Warszawy i najbliższych okolic sprawę własnej Współdzielni, któraby mogła całą wytwórczość koszykarską objąć, należycie ją rozsegregować i pomyśleć o wywozie produkcji, która u nas doskonale stoi. Wikliny mamy duże plantacje nad Wisłą. Jest około 300 drobnych zakładów koszykarskich, produkcja ich wynosi kilkaset tysięcy złotych. Łacno można to będzie pomnożyć, jeśli zaprowadzi się systematyczną organizację, bo skupienie — to siła. Przy rozwoju koszykarstwa, setki rąk zatrudni rzemiosło miłe, czyste, dając chleb wykonawcom, którego jakże często dziś ludziom brak!

Wiedzieć trzeba, że Ministerjum Spraw Wojskowych wyjaśnia, iż poborowi i ochotnicy, mający prawo do skróconej służby wojskowej, mogą posiadanie tego prawa udowadniać nietylko oryginalnemi świadectwami szkolnemi lub ich uwierzytelnionemi odpisami, lecz również zaświadczeniami o złożeniu egzaminu dojrzałości, wystawionem przez dyrekcje zakładów naukowych.

Zaświadczenia takie powinny zawierać — poza imieniem, nazwiskiem i datą urodzenia poborowego (ochotnika) — również datę złożenia egzaminu dojrzałości, typ uczelni oraz winny być zaopatrzone w okrągłą pieczęć danego zakładu naukowego.

Wiedzieć pożytecznie, a objaśniać niejednego o tem, że została uruchomiona „Tania kuchnia dla inteligencji" przy ul. Mazowieckiej 8 w Warszawie, prowadzona przez obywatelski komitet pomocy społecznej.

Wiedzieć trzeba, że wypadki nieostrożności, na jezdniach, coraz częstsze, a powodujące nieraz śmiertelne wyniki, są spowodowane nagannem lekceważeniem życia własnego i zakłóceniem ogólnego spokoju. Dzieci napominać o nieczepianie się tramwajów, wzbudzając w nich ambicje — niedawania złego przykładu innym. Welocypedystom przypominać bez końca ostrożność, a samym czekać i czekać, nie żałując sekund czasu, bo o sekundy najczęściej rozbija się bezpieczeństwo, i przechodzić wtedy ulice, kiedy ruch się zmniejsza. Tylko współpracą z policją możemy poprawić tę karygodną naszą nierozwagę.

Wiedzieć musi, że choroby zakaźne gnieżdżą się w Warszawie. Że zarejestrowano przypadki duru brzusznego, dyfterytu, odry. Że uważać należy, zwłaszcza u dzieci, na najlżejsze objawy niedomagania i natychmiast udawać się do najbliżej mieszkania będących lecznic. Staranna matka, często obserwacją stanu dziecka i szukaniem natychmiast przyczyn niehumoru, braku apetytu, braku chęci do zabawy i t. p. uchroni je od ciężkiej choroby, siebie od wielkiego zmartwienia.

Wprawdzie, jak się o tem dowiadujemy z komunikatów o chorobach zakaźnych, wypadki *płonicy* się zmniejszyły, to jednak trzeba pamiętać, że płonica jest niebezpieczną chorobą dzieci, że zagraża różnemi komplikacjami i że dlatego rodzice powinni zwracać baczną uwagę nawet na lekkie niedyspozycje dzieci, jak zaczerwienie czy ból gardła, i natychmiast kierować się do lekarza.

Każda choroba to ruina ładu nietylko fizycznego. To ruina moralna i materjalna, więc strzec się jej jak ognia — należy.

Wiedzieć trzeba, że, niestety, bardzo często Polacy przyjeżdżający z zagranicy bywają ofiarami złodziei. Przyjeżdżają z krajów, gdzie cywilizacja już w znacznej części wytępiła złodziejstwa, zostawiła ufność i tą ufnością powodowani dają się obedrzeć byle spotkanemu łotrzykowi. Każdy, kto ma zagranicami kraju — swoich, winien ostrzegać przyjeżdżających do nas. Jest to bolesne, ale mniej dotkliwe od tego, co czytamy np. w „Kurjerze Warszawskim", że: Polak z Ameryki, niejaki Sokolnicki, padł na dworcu ofiarą złoczyńców, którzy mu zabrali 285 dolarów i dokumenty. Zmuszony był starać się o prawa „uciążliwego cudzoziemca", którego przymusowo wysłano do Gdyni, aby na pierwszym statku, idącym do Ameryki, tam odpłynął.

Wiedzieć i opowiadać znajomym trzeba, że ceny biletów w teatrach miejskich są obniżone. Pierwsze miejsca 5 zł — aż do 49 groszy miejsce. Dawniej pierwsze rzędy kosztowały 11 zł i też najczęściej bywały niewyprzedane. Oczywiście są całe olbrzymie gromady ludzi, którzy dziś na żadną przyjemność pozwolić sobie nie mogą, ale są i takie, które chętnie wydadzą na rozrywkę dla umysłu cenną, nie płacąc jednak za nią zbyt wygórowanych sum.

Wiedzieć trzeba, że za nieprawidłowe przechodzenie przez jezdnię płacą się kary. Komisarz rządu na miasto Warszawę wydał nowe przepisy o ruchu pieszym i kołowym na ulicach stolicy. Zarządzenie to weszło w życie z dniem 15 lipca r. b. i poza przepisami o przechodzeniu przez jezdnię w miejscach wytyczonych lub na skrzyżowaniach ulic (a nie naukos), nakłada na kierowców pojazdów obowiązek zwalniania jazdy przed przystankami tramwajowemi i autobusowemi, a także zabrania używania hałaśliwych hamulców przy zwalnianiu jazdy samochodami oraz nadużywania wrzaskliwych klaksonów.

Ponadto zakazuje również wskakiwania i wyskakiwania z tramwajów oraz wprowadza nowy zakaz sprzedaży gazet w tramwajach, a to w związku z wskakiwaniem i wyskakiwaniem w biegu z tramwajów przez sprzedawców gazet i zdarzającemi się częstokroć na tem tle nieszczęśliwemi wypadkami.

Tyle złamanych rąk czy nóg, tyle starców poturbowanych, tyle dzieci na śmierć przejechanych przez niedbałe zachowanie się wobec zwiększonego ruchu w mieście. Każda więc z nas ma obowiązek nietylko strzec swoich napominaniem o uwagę, ale dookoła siebie rozprzestrzeniać konieczność nie lekceważenia przepisów, które ogólne dobro mają na celu.

Wiedzieć niejednej matce pożyteczne, że tygodnik „Dziecko i Matka" jest doskona-

le redagowany i że każda młoda matka znajdzie w nim wiele wiadomości, ułatwiających jej poczynanie z niemowlęciem. Dziecko chować należy od pierwszej chwili jego życia, a zaniedbanie tej mądrości, powodowanej brakiem doświadczenia, i matce i dziecku nie wychodzi na dobre. Mnóstwo rad i wskazań w tym zakresie poleca pismo staraniu wogóle i obmyślone i wykonane ze znajomością przedmiotu.

Wiedzieć trzeba, że Zakład Braci Albertynów mieści się przy ul. Grochowskiej 121 w Warszawie. A wiedzieć trzeba to dlatego, żeby czem kto może dopomagać w zbożnej pracy niesienia pomocy bliźnim. Jeśli kto mieszka w Krakowie albo jego okolicy dalszej lub bliższej i wygodniej byłoby mu zbliżyć się do pomocy w pracy Braci Albertynów, to adres ich w Krakowie jest: ul. Kościuszki 86.

Wiedzieć trzeba, że kursy katechetyczne w Związku Katolickim Polek przy ul. Krakowskie Przedmieście 36, rozpoczęły się od 16 września.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. W. M. w Opocznie. Szanowna Pani zechce się zwrócić do Czerwonego Krzyża w Warszawie, ulica tegoż imienia — o przysłanie małej książeczki z przepisami ratunku w nagłych wypadkach: zemdlenia, krwotoku, oparzenia, zwichnięcia i t. p. Takie informacje, zwłaszcza na prowincji, gdzie o lekarza często trudniej, są niezbędne, jak również mała podręczna apteczka. W tej chwili, chcąc wywiązać się z odpowiedzi, korzystamy z przytoczenia przepisu Dr. med. p. H. Wasilkowskiej-Krukowskiej (Warszawa, Marszałkowska 85), która w miesięczniku, wydawanym przez jedno z najważniejszych naszych Stowarzyszeń: „Pań Domu" podaje właśnie radę na ciężkie zranienie. Mówi ona tak: *Zranienie* względnie *skaleczenie* polega na przecięciu narzędziem ostrem lub tępem, skóry i głębszych części miękkich. Występuje przytem krwawienie. Przy powierzchownych i niezbyt silnie krwawiących zranieniach wystarcza pomoc domowa. Trzeba tylko pamiętać o zachowywaniu wielkiej czystości przy opatrunkach. Niewolno robić opatrunków nieumytemi świeżo rękami, rany nie należy dotykać palcami ani przemywać jej wodą. Jeżeli okolica rany jest brudna, to można ją wytrzeć watą zmoczoną w spirytusie, benzynie lub jodbenzynie. Na ranę położyć gazę sterylizowaną lub w razie braku gazy czysto wyprany i wyprasowany kawałek płótna czy innego białego bieliźnianego materjału. Po nałożeniu gazy na ranę bandażuje się zranione miejsce opaską.

Małe skaleczenia można zajodynować i nałożyć potem opatrunek z przylepca (plastru); pod przylepiec należy zawsze położyć kawałek gazy. Opatrunek z przylepca zdejmuje się wygodnie po zwilżeniu go benzyną.

Opatrunki najlepiej jest robić przy pomocy pensety i nożyczek, uprzednio wygotowanych w wodzie (ewentualnie można je trzymać przez kwadrans w spirytusie). Jeżeli ktoś nie posiada narzędzi opatrunkowych, to niech przynajmniej pamięta o tem, żeby tego kawałka gazy, który ma leżeć na ranie, nie dotykać palcami.

P. Mat. Zagr.. w Służewie. Doskonale pierze się cieniutka bielizna, hafty, wszelkie cienkie chusteczki, żaboty, tak dziś modne, na zimno w Radionie. Radion rozpuszcza się w wodzie zimnej doskonale, włożyć wtedy chusteczki batystowe, rękawiczki białe i tym podobne drobiazgi, nawet jedwabną bieliznę, wygniatać każdą sztukę zosobna starannie, a potem znów wypłukać zimną wodą czystą, a wszystko powinno być białe, bez wielkiego trudu i bez zabrania wiele czasu. Jeśli jest elektryczność w domu, żelazkiem elektrycznem przeprasowywać i już będzie prawie amerykański sposób prania.

P. Walerji Mur... w Zagłębiu. Mieszkając w miejscowości fabrycznej, zawsze o pomoc lekarską łatwiej, aniżeli na głębokiej wsi, skąd do miasteczka daleko, najczęściej, jak u nas, polską drogą, a więc niewygodnie. Toteż mały podręcznik o pierwszej pomocy w wypadkach nagłej choroby, zemdlenia, skaleczenia i t. p. każda ze starannych pań domu mieć powinna. Pani łaskawa niech się zwróci do „Czerwonego Krzyża", niezawodnie odnośną książeczkę nadeślą; ale jest w handlu księgarskim książeczka dr. H. Hilarewicza p. t. „Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach", wydawnictwa Książnicy-Atlas, ale i każda księgarnia, o ile jej nie ma, natychmiast może ją Pani dostarczyć.

Praktycznej z Jeziorny. Przy placu 3 Krzyży, w Szkole Pracy Domowej, odbyło się w początkach lipca r. b. zakończenie roku szkolnego, wraz z pokazem rezultatów pracy nauczycieli i sprawności uczennic. Wprawdzie w Paryżu odbył się taki popis, gdzie dziewczątka 10-letnie, a może i młodsze, przyrządziły obiad na jakieś sto osób, o czem pisaliśmy w „Rodzinie Polskiej", ale i u nas dziewczynka, która przeszła kurs pracy domowej, obiad na dwie osoby, składający się z pieczeni cielęcej ze smażonemi kartoflami i mizerji oraz z pianki z konfiturami, przyrządziła w ciągu 30 minut, wraz z podaniem do stołu, chociaż miała na to minut 40 przeznaczone. Więc nie próżne są usiłowania w tym kierunku tak niezbędne, zwłaszcza dziś przy zmianie warunków materjalnych, mniejszych mieszkań, kosztu służących i t. p. Doskonałą książeczkę p. t. „Potrawy z kartofli" wydawnictwa „Bluszczu" polecić możemy Sz. Pani. Kosztuje 1.50 zł, a daje niezliczone i nieocenione przepisy na zużytkowanie w najróżnorodniejszej formie tego nieocenionego płodu ziemi, który, przywędrowawszy z Ameryki, tak doskonale u nas się zaaklimatyzował. Oczywiście póki młode, najlepsze na świeżo ugotowane — masłem z bułeczką okraszone — ale w zimie — cuda się z nich robi — dla tego naszego łakomego podniebienia. Dziękujemy za list i prosimy zawsze o dysponowanie nami.

CIEKAWY LIST

Wiadomo, że dziewczęta wiejskie wyjeżdżają do miast w poszukiwaniu zarobku. Szukają one w mieście służby. Jeżeli dziewczyna jest mądra i oszczędna, to w mieście sporo zarobi i ma możność powrotu na wieś i zamążpójścia. Jeżeli jednak dziewczyna nie jest przezorna i oszczędna, to przez całe życie musi pracować na cudzem i nigdy nie doczeka się własnej gospodarki.

Ażeby więc wszystkim pracownicom domowym dopomóc do zebrania kapitału, P. K. O. zachęca je do składania zarobionych pieniędzy na książeczkę oszczędnościową, a nawet przyznaje duże nagrody tym pracownicom domowym, które najgorliwiej oszczędzają, dając przez to dobry przykład i innym.

Co roku ogłaszane są więc specjalne konkursy z wieloma nagrodami dla „najoszczędniejszych pracownic domowych". Ostatnio P. K. O. otrzymała od jednej z pracownic nagrodzonych list, który podajemy poniżej bez poprawek:

„Od domowej pracownicy, dawnej Weroniki Soczywko, zamieszkałej w kolonji Ziabki II w gminie Prozoroki: Uprzejmie zawdzięczam P. K. O. za otrzymaną przeze mnie drugą nagrodę w kwocie złotych 300. — za rok 1933, przez co ja miała możliwość wyjść zamąż. Nadmieniam, że ja wyszła zamąż w końcu lutego roku bieżącego za pana G...cza Pawła, człowieka przystojnego, mającego w swoim korzystaniu 5 ha roli. Kochana P. K. O. bardzo dziękuje za wszystko. Podpisana Weronika G....cz".

Można być pewnym, że ta rozsądna i oszczędna kobieta będzie dobrą żoną i matką.

KĄCIK DLA DZIECI

MILUSIA

Urodziła się w lesie, w ciepłem, kulistem gniazdku, zawieszonem wśród konarów starego drzewa. Obok siebie czuła ciepłe ciałka swego rodzeństwa i czułą opiekę mamy wiewiórki, która tkliwie pielęgnowała swe dzieciny, karmiła, ochraniała przed złem. Gdy już podrosły, uczyła je skakać zręcznie z drzewa na drzewo, wyszukiwać pożywienie odpowiednie dla wiewiórki i ostrzegała przed wrogami, z których najgroźniejszym był dla nich krogulec i chytra łasica i krwiożercza kuna. — Niegodziwcy — mówiła mama wiewiórka — czyhają na nas, by się naszem mięsem i krwią nasycić, jakby to brakło smacznych orzeszków, szyszek, bukwi... a oni tylko mordem żyją! — Tak prawiąc do swych dziateczek, zapominała mama wiewiórka, że choć wiewiórki przeważnie żyją pokarmem roślinnym, to nie gardzą i jajeczkiem ptasiem, a przy sposobności i pisklątko gładko przez gardło im przechodzi.

Gdy wiewióreczki już dobrze śmigały po drzewach i ząbki im wyrosły, kazała im matka ogryzać korę z gałęzi. — Twarde! Pyszczek mnie boli! — skarżyła się Milusia. — Czy to koniecznie, mamusiu? — Koniecznie, dziecinko — odpowiedziała matka — widzisz, my wiewiórki należymy do wielkiej rodziny gryzoniów, podobnie jak zające, króliki, myszy i t. p., i nasze dwa przednie zęby rosną nam ciągle, musimy więc je ścierać o twarde przedmioty, bo w przeciwnym razie wyrosłyby nam z pyszczka aż na brodę, zakrzywiły się i... musiałybyśmy z głodu umierać.

Nie podobały się też Milusi spoczątku szyszki, bawiło ją coprawda obłuskiwanie ich i wyszukiwanie smacznych ziarenek, ale żywica, którą nieraz były pokryte, nie smakowała naszej wiewióreczce i z podziwem patrzyła na braciszka Rudoszka, którego specjalnemi względami cieszyły się szyszki.

Nadszedł październik. Mama wiewiórka przeniosła się z kulistego gniazda wśród konarów, do głębokiej dziupli, którą wyścielać jęła ciepło. Dziupla ta łączyła się z drugą, w której składano zapasy. Nielada to była robota. Zbierano orzechy laskowe, buczynę, żołędzie, szyszki młode, ale nie wszystko szło do spiżarni, matka wybierała tylko najładniejsze, zdrowe, nieuszkodzone okazy, tylko takie nadawały się do przechowania. Gdy napełniono jedną dziuplę, matka wyszukała drugą i trzecią i tam znów zapasy składano. — Naco tyle — dąsała się Milusia — przecież w zimie szyszki na drzewach są i żołędzi będzie dość! — Prawda — przyznała matka — ale to wszystko możesz jeść tylko w dnie pogodne, gdy z dziupli się wydostaniesz, a co zrobisz, gdy szaruga jesienna lub zawieja zimowa trwa długo!? — Racja, mamusiu — przyznała Milusia — ale pocóż w takim razie, w kilku miejscach chować? — Ano widzisz, czasem się zapasy skończą w jednem, dobrze mieć pod łapką drugie, czasem, bo i to się zdarza, zapomni wiewiórka o jednej spiżarence i odnaleźć jej nie może, ale zato ma drugą i trzecią do swego rozporządzenia. Przytem podbierają nasze zapasy też ludzie, boć wiadomo im, że wiewiórka zbiera tylko najprzedniejsze ziarna. — A co to ludzie, mamusiu!? — zapytała ciekawie Milusia. — Ludzie — zaczęła matka, ale w tej chwili, załopotało coś nad głową, więc przerwała i wydała ostrzegawczy krzyk — w języku wiewiórek znaczyło to — „chować się, krogulec!”

Nie dostała odpowiedzi ciekawa Milusia na swe pytanie, ale szybko los sam miał ją zetknąć z ludźmi. Pewnego dnia podczas wędrówki z drzewa na drzewo skoczyła na spróchniałą gałąź, która się z nią ułamała i Milusia spadła na ziemię, oszołomiona, w pierwszej chwili, przycupnęła na ziemi i wpadła w ręce człowieka. Leśniczy Maciej przechodził właśnie tamtędy i, zobaczywszy wiewióreczkę napół żywą na ziemi, podniósł ją i wsadził do kieszeni. Gdy Milusia oprzytomniała, już była w niewoli, broniła się dzielnie, gryzła dłoń, która przeszkadzała jej w próbach ucieczki. Nic nie pomogło jednakże i Milusia została w niewoli. Leśniczy zrobił piękną klatkę i zawiózł ją swej siostrzenicy w prezencie, gdy jechał do miasta.

Marysia ucieszyła się niezmiernie podarkiem wuja. Wiewióreczka, spoczątku dzika, prędko przyzwyczaiła się do dziewczynki, podbiegała do kratek klatki, gdy Marysia do niej podchodziła i brała jej z rączki orzeszek. Kręciła się zabawnie w kole przyczepionem do klatki. Nie można jej tylko było wypuszczać na swobodę, bo gryzła wszystko co na drodze napotkała, meble, firanki, ubrania. Skakała z mebla na mebel, zawadzając i przewracając po drodze wazony i różne drobiazgi, tak, że po kilkakrotnych próbach, dano spokój i mała niewolnica pozostała w klatce.

Przyszła wiosna, Milusia, dziwnie osowiała, zaszyta w kącik klatki, ledwo z łaski coś zjadła, zaprzestała skoków i harców uciesznych. — Co jej jest, mamusiu? — pytała Marysia. — Tęskni za swobodą — odpowiedziała matka, a możeby jej wrócić wolność? — Och, mamusiu — ja tak kocham Milusię — wykrzyknęła Marysia. — Ja cię też nie przymuszam — powiedziała matka — tylko proponuję, niech twoje serduszko samo rozstrzygnie. — Zwiesiła główkę Marysia, ale nie odpowiedziała. Przeszło dni parę, wiewióreczka coraz była smutniejsza, ale i oczka Marysi zachodziły chwilami łezkami. Aż pewnego słonecznego dnia powiedziała: — Mamusiu, nie chcę męczyć wiewióreczki, odeślijmy ją do lasu wujka. — Nie potrzeba tego, Marysiu. Wujek zresztą nie ucieszyłby się bardzo z powrotu do lasu, tego małego szkodnika. Puścimy ją tutaj do parku i będziemy od czasu do czasu odwiedzać naszą wychowankę — odrzekła mamusia, tuląc do serca zatroskaną córeczkę. — Ucieszona tą obietnicą, Marysia chętnie puściła Milusię na swobodę, szepcząc jej tylko do uszka na pożegnanie — nie zapomnisz mnie!? — Nie zapomniała Milusia swej dobrej panienki, ilekroć Marysia zjawia się w parku, wiewióreczka wskakuje jej na ramię, krzycząc zabawnie i czule się wita. Milusia jej ulubienicą wszystkich bywalców ogrodu i zżyła się z ludźmi całkowicie, a że za przykładem Marysi jeszcze parę wiewiórek puszczono do parku, więc i towarzystwa jej nie brak i wcale nie tęskni za lasem i dziuplą rodzinną.

H. Rostafińska-Chojnowska.

ANIOŁ STRÓŻ

(na 2-go października)



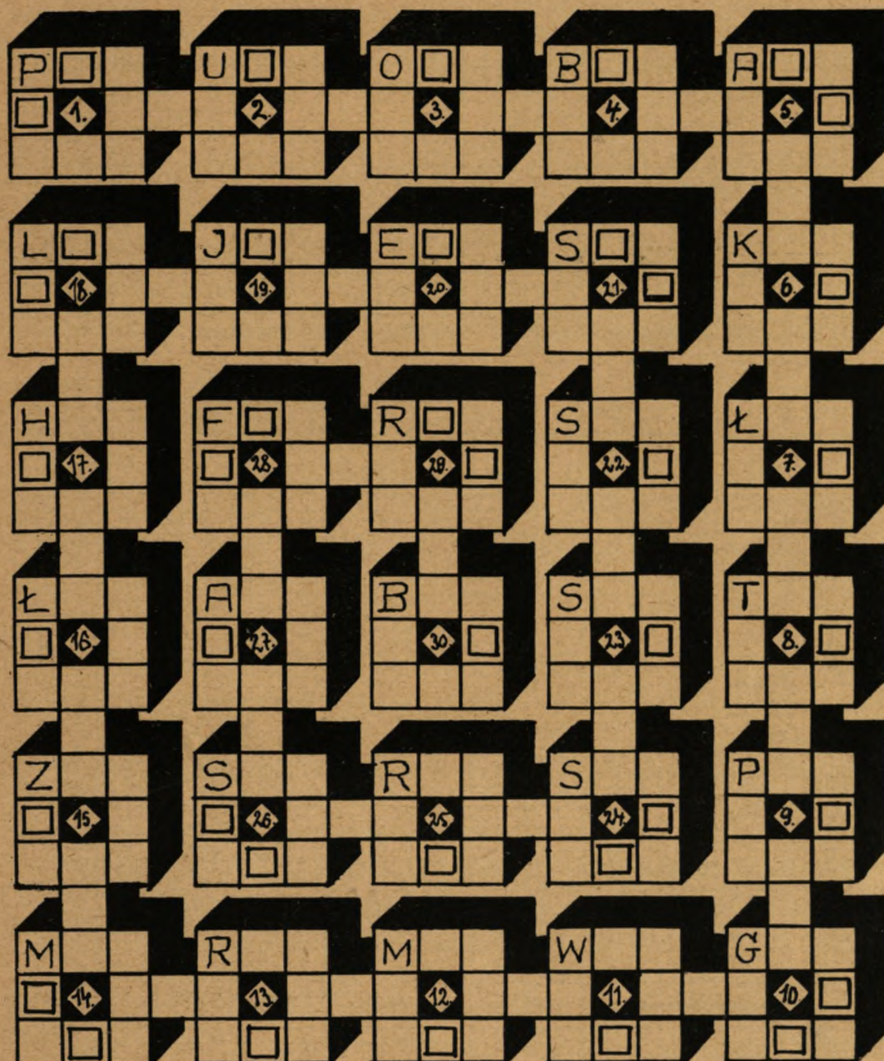
Aniele Boży, stróżu mój,
Ty zawsze przy mnie stój,
Rano, wieczór, we dnie, w nocy,
Bądź mi zawsze ku pomocy
Broń mnie od wszelkiego złego
I prowadź do żywota wiecznego.

WESOŁY KĄCIK.

Bawiły się dzieci w „jaworowe drzewo”, pokolei, według słów piosenki „wszystkie panny przepuszczamy, tylko jedną zatrzymamy” zatrzymywano ostatnie z szeregu. Wreszcie przyszła kolej na trzyletnią Renię, która też brała udział w zabawie. „Do kogo wolisz iść” — zapytał jeden z trzymających most, — do Anioła czy do djabła?” — Renia podniosła główkę, zmarszczyła czółko i pomyślawszy chwilkę, powiedziała stanowczo: „ja — wolę iść do niani”.

Redaktor: Dr. Józef Zawidzki. Wydawcy: Stow. Mis. Księży Pallotynów.
Redaktorka działu kobiecego: Lucyna Kotarbińska.
Wykonano w Drukarni Archidiecezjalnej — Warszawa, Krakowskie Przedmieście 71.

WIRO-CIĄGÓWKA



W kwadraty figury należy wpisać literami: 30 wyrazów ośmioliterowych, wirowo dookoła cyfr w kierunku zegarowym, oraz 29 wyrazów trzyliterowych, ciągowo na wzór ślimacznicy. Litery w kratkach podwójnie obramowanych, czytane po porządku wedle kolejności cyfr, dadzą rozwiązanie aktualne, które podać można bez wyrazów pomocniczych. Dla ulżenia podane są w kratkach początkowe litery wyrazów wirowych.

Znaczenia wyrazów wirowych: 1. Ozdobna lektyka. 2. Grupa skorupiaków morskich. 3. Cyrkiel do mierzenia wewn. średnicy ciał pustych. 4. Błazeństwo (nadętość). 4. Jedwabna gruba materja przetykana złotem. 6. Wojny krzyżowe. 7. Pokój z wanną. 8. Drzewo owocowe. 9. Stary miód pitny. 10. Świeca woskowa. 11. Przyrząd do mierzenia objętości gazu. 12. Ozdoba architektoniczna w postaci wykrzywionej, fantastycznej twarzy. 13. Przyjmowanie gości. 14. Miejsce porośnięte krzewami malinowemi. 15. Frasunek. 16. Wioślarz. 17. Samobójstwo przez rozcięcie brzucha. 18. Dywan korkowy, wyrabiany z grubej tkaniny jutowej. 19. Imci pan. 20. Narzędzie do mierzenia delikatności materji. 21. Barwa purpurowa. 22. Urząd ławniczy. 23. Kierownicy statku. 24. Część piersi od brzucha zwierzęcia zabitego. 25. Ryba skamieniała z rz. chrzęstkowych. 26. Miesiąc. 27. Suplement. 28. Roślina z rodz. trędownikowatych. 29. Gat. śliwki. 30 Przyrząd wskazujący zmiany atmosferyczne.

Znaczenia wyrazów ciągowych (wiązania kwadratów): 1. Imię tureckie. 2. Przedsionek piekieł. 3. Prawy dopływ Wołgi. 4. Rzymska bogini urodzajów. 5. Bufet (szynk). 6. Papuga. 7. Ptak wodny. 8. Rzeka w Egipcie. 9. Pierwiastek chem. 10. Archipelag 80 wysp w Indjach wsch. holend. 11. Przyrząd gimnast. 12. Przeczenie. 13. Przysłówek. 14. Miasto w Finlandji. 15. Zabawa towarzyska. 16. Tamci. 17. Piwo angielskie. 18. Kolec. 19. Olbrzym. 20. Dawna drobna moneta. 21. Kabłąk (obłąk). 22. Ćwiek metalowy. 23. Lewy dopływ Dunaju. 24. Zwierzę z rodz. jeleni. 25. Rodz. prosa. 26. Dni poświęcone Jowiszowi. 27. Roślina warzywna. 28. Lewy dopływ Tamizy. 29. Owad błonkoskrzydły.

„Aleksiej" (czł. Kl. Sz.).

ZŁOTA JESIEŃ

Zsuwając z swej potężnej piersi
pierzynę zorzy rozegrzaną,
z wspak **jedenastej-trzeciej-pierwszej**
raz-jedenaście-tuzin rano
Słońce, by zajrzeć we wsze kąty,
bo jest wszak ono **ósmym-piątym.**
Nad **tuzin-piątą** ziemi płową
czwór-siedem wtór i **dziewiątemu,**
trzy-cztery-dziewięć topól głową,
dziewięć-sześć chmury — psioczą temu,
bo nienawidzą **dziesiątego**
ósmi-sześć-siódmi. Cóż dziwnego?...

„Kasta" (czł. Kl. Sz.).

JESIEŃ

Szarada aktualna.

Już jest **dziewięć-jedenaście-dwa** złotawo,
już się **czwarta** zapełniła ziarnem zbóż,
dwa-dziesiąte wciąż zajmują się zabawą,
a gospodarz **pięć i jeden** konie już.
Jego **siódma-ósma** przedtem wyszła w pole,
on do młyna z ziarnem teraz **pięć-trzy-dwa.**
Człek **pięć-dziesięć** się, a znojny pot na czole
jakąś dziwną, wielką siłę w sobie ma...
Gdzie się ścieżka **dziewięć-jeden-trzy** przez łany,
Złota Jesień hen z oddali idzie tu,
a świat **szóstą** rzewną jej ukołysany,
do przyszłego się gotuje cicho snu...

E. Leitnerówna (czł. Kl. Sz.).

Za rozwiązanie powyższych zadań (lub choćby jednego), przeznacza Redakcja do rozlosowania kilka **nagród książkowych.** Termin nadsyłania rozwiązań zadań **trzytygodniowy.**

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z NUMERU SIERPNIOWEGO 1935 ROKU.

Szarady XIII: Opiekunko skowronków.
XIV: Pani słowików.
XV: Matko jaskółek.

Szarada: Harcerze.
Mag. kwadraty: Lato.

(Wyrazy: I. Tu, ul. II. Lak, akr, kra. III. Ażur, żoła, ułan, rant. IV. Tarok, Abaco, rapir, ocios, korso. V. Olbora, leader, balaty, Mikado wsp., retina, Aryman).

Rebus: Czem chata bogata, tem rada.

Logogryf: Rozkosze lata.

(Wyrazy: Iskrami, melodje, jarzmie, spokoju, radosny, troskom, duszach, świecie, gęślach, popadli, ulotnić, drgając).

Nagrody książkowe otrzymują: p. „Jawnuta" ze Słonimia i p. Marja Strublówna z Warszawy.

M. Sł.

ZE ŚWIATA RADJA

Radjofonja narodowa i międzynarodowa.

Radjo jest jedną z licznych form, dzięki którym myśl ludzka ma możność wypowiedzenia się. Tak jak i inne formy, rozwija się ono w ścisłym związku z życiem narodu, jest przepojone odrębnością narodowego bytu, który uzewnętrznia i któremu nadaje artystyczny kształt. Tak jak istnieje prasa narodowa, literatura narodowa i narodowy teatr, tak też w każdym kraju istnieje narodowy system radjowy, stanowiący podkład i wykładnik kultury i myśli narodowej. Z drugiej jednak strony radjo zazębia się o pewne elementy międzynarodowe. Dzięki radju współdziałanie narodowych systemów kultury artystycznej doznało tak szybkiego rozwoju, że w historji kultury i cywilizacji świata nie znaleźlibyśmy dla tej szybkości właściwego odpowiednika.

Radjo pracuje w sferze eteru, który sam z siebie wydaje się być wspólnym całej ludzkości. Tak jak film może być widziany wszędzie, tak też i program radjowy może być wszędzie słuchany, zwłaszcza gdy słuchacz jest dość inteligentny aby go zrozumieć, a tem bardziej gdy zna język w którym jest nadawany.

To są dwa oblicza radja. Jedno skierowane ku wewnątrz, ku własnemu narodowi, drugie skierowane ku zewnątrz, ku wielkiej arenie międzynarodowej, udostępnionej wszystkim w równej mierze przez rozwój techniczny. Ten kontakt między poszczególnemi narodami, zawiązany dzięki radju, bogaty jest w możliwości i zagadnienia. Realiści zajmują się bardziej problemami, a idealiści — możliwościami. Warto zbadać argumenty obu stron.

Przedewszystkiem nawet narodowy system radjowy znajduje międzynarodowe oddźwięki. Cokolwiek mówiłoby się w Warszawie — będzie słyszane, względnie może być słyszane w Paryżu, Rzymie lub Berlinie. Możemy przypuszczać, że gawędzimy w naszem własnem intymnem kółku rodzinnem, gdy tymczasem w rzeczywistości podsłuchuje nas cały świat. Cokolwiek powiedzielibyśmy — jest powiedziane urbi et orbi. Żyjemy jakby w szklanym domu: to, co robimy, jest widzialne. Jeśli mówimy coś w Warszawie do polskich słuchaczy o obcym narodzie, to ten naród też to słyszy i jego rząd może być albo pochlebiony albo dotknięty. Dlatego — nawet jeśli chodzi o wewnętrzne audycje, o audycje przeznaczone dla własnych słuchaczy, o to, co się robi niejako we własnym domu, radjo musi być bardzo ostrożne. Problem praw podmiotowych innych narodów jest w radjo szczególnie drażliwy.

Może jednak mieć miejsce sytuacja wręcz odwrotna. Stacje nadawcze mogą chcieć się oprzeć nietylko na swoich słuchaczach, ale również przekroczyć granice państwa i rozszerzać w ten sposób znajomość kultury narodowej. Wówczas program radjowy musiałby być w ten sposób skonstruowany, aby zainteresować obcych słuchaczy. Znamy przykłady działalności takiej na terenie radja. Ten „eksport radjowy" dotyczy nietylko jednego kraju, ale także całej grupy obcych krajów. Niestety kontynuowanie takiej polityki nie jest łatwe, gdyż przeważnie nie znajduje uznania wśród rodzimych słuchaczy.

Te trudności międzynarodowego broadcastingu — powstały zresztą skutkiem pewnych ubocznych, pozaradjowych tendencyj — nie powinny zamykać nam oczu na jego potężne możliwości. Każdy kraj ma bezwzględny obowiązek zaznajamiania wszystkich ze swoją własną kulturą narodową, a przedewszystkiem może uformować swoje własne wewnętrzne koło słuchaczy o poglądach i działalności innych narodów. I to dotyczy nietylko prelekcyj, ale i muzyki, słuchowisk, literatury i języka. Nie należy zapominać, że radjo jest wyjątkowem i dotychczas niestety niewyzyskanem forum międzynarodowem, na którem może się odbywać w szerokich ramach ścisła współpraca międzynarodowa.

A teraz przechodzimy do zagadnienia znanego ogólnie pod nazwą międzynarodowej wymiany programów. Treścią tej wymiany była dotychczas przedewszystkiem muzyka. Dopiero na ostatnim zjeździe Międzynarodowej Unji Radjofonicznej zwrócono uwagę na możliwość wymiany odczytów. I słusznie. Historja cywilizacji obfituje bowiem w liczne jednostki o bardzo wybitnych umysłach, z których działalnością możnaby zaznajomić wszystkie narody w ramach jakiegoś wspólnego dla wszystkich stacyj programu.

Prawdopodobnie już w najbliższym czasie współpraca narodów na terenie radja znajdzie nową, ciekawą formę — wymianę myśli.

Słuchowiska na tematy aktualne.

Tworzenie sztuki radjowej możnaby porównać do układania łamigłówki wycinankowej poomacku. W tej nowej dziedzinie twórczości trzeba pamiętać, że elementy są ograniczone, wypada przedstawić wszystkie efekty, rozwinąć obraz dramatu, ukazać jego stronę artystyczną i ideową i utrzymać zainteresowanie słuchacza, który jest widzem, nie posługującym się wzrokiem, jedynie przy pomocy słów i efektów dźwiękowych. Z własnego doświadczenia wiem, że w dramacie radjowym nie należy przeciążać radjosłuchacza efektami dźwiękowemi. Nie mówię tu o muzycznym efekcie słuchowym, ale o wszystkich innych pomocniczych, których im mniej, tem lepiej dla całości.

Musimy pamiętać, jako autorzy sztuki radjowej, że audytorjum nasze nietylko nie widzi naszych postaci scenicznych, ale i tego nie wiemy z pewnością, czy wogóle słucha? Jeżeli teraz postacie w naszej sztuce ukazują się w świetle niepewnem, jeżeli nie potrafią dostatecznie zainteresować, jeżeli są sztuczne, albo mają inne braki techniczne lub artystyczne, a braki te można liczyć na tuziny — audytorjum nasze nie wytrzyma, jak w teatrze, konwencjonalnie, do opuszczenia kurtyny, ale poprostu zamknie głośnik, a wtedy cała gra nasza będzie przemową do głuchych. Poprostu rozpłynie się w eterze, nieoceniona przez nikogo w przestrzeni międzyplanetarnej.

A trzeba nam prawdziwego audytorjum; musimy w nowych warunkach twórczości dramatycznej dbać o słuchacza, który nas nie zna i, którego niewiele obchodzi autor i ideowa strona jego sztuki. Musimy pamiętać o tem, że powodzenie naszej sztuki będzie pełne wówczas, gdy potrafimy pozyskać tego nieznanego słuchacza, zainteresować go, utrzymać przy głośniku i pochłonąć całą jego uwagę.

Pamiętajmy jednak, że dysponujemy tu ograniczonemi środkami: tylko żywem słowem i ideową stroną sztuki.

Jeżeli teraz zamierzamy przykroić sztukę do poziomu zainteresowań audytorjum mieszanego, powiedzmy: typowego radjosłuchacza w jego mieszkaniu — musimy dać rzecz istotnie interesującą tę kategorję. Dobór tematu jest tutaj zapewne łatwiejszy. Nazwijmy tę dziedzinę sferą zainteresowania przeciętnego, albo tematem aktualnym. Jak w tej chwili naprzykład, jeśli mówić językiem bardzo praktycznym, takim tematem mogłaby być choćby Abisynja. Sztuka radjowa na tle rozwijających się antagonizmów italsko-abisyńskich, zainteresowałaby z pewnością rzesze najliczniejsze radjosłuchaczy — od t. zw. słuchacza przeciętnego, od krańców Azji do wybrzeży oceanu Wielkiego w Ameryce Zachodniej; od Szwecji północnej do wysp na Pacyfiku, a pozatem: od zwykłego żołnierza w szeregach włoskich, czy abisyńskich — do cesarza Haile Selasie i potężnego Mussoliniego. Ale inaczej będzie ze sztuką radjową, osnutą na tle najszerzej już chyba wykorzystanej intrygi miłosnej. Jeżeli tutaj nie damy czegoś nowego w znaczeniu szczególnie interesującem — nie możemy liczyć na porwanie radjosłuchacza tematem mocno już wytartym.

Bo trzonem sztuki radjowej musi być jej ideowość, żywość obrazów i dialogu, często taki gatunek humoru lub taka budowa intrygi, które zapewniłyby trwałe zainteresowanie, a więc utrzymanie radjosłuchacza w napięciu do końca dramatu, które pobudzałyby ciągle jego wyobraźnię, zasilaną jednym tutaj zmysłem słuchania bez możności widzenia i orjentowania się w nastrojach, co jest dostępne widzowi w teatrze, a czego pozbawiony jest słuchacz radjowy. Jeżeli zapewnimy sztuce naszej te zalety, możemy być przekonani, że zbudowaliśmy ją na właściwych zasadach nowego dramatu — radjowego.

Tych elementów w budowie dramatu radjowego nie zdoła chyba zmienić telewizja, której skromny ekran nie zastąpi żywej sceny z jej efektami, jej atmosferą właściwą i duchem jej audytorjum. W dramacie radjowym zatem elementem zasadniczym pozostanie, po stronie audytorjum, zmysł słuchu, jako jedyne i główne źródło pobudzenia naszej wyobraźni.